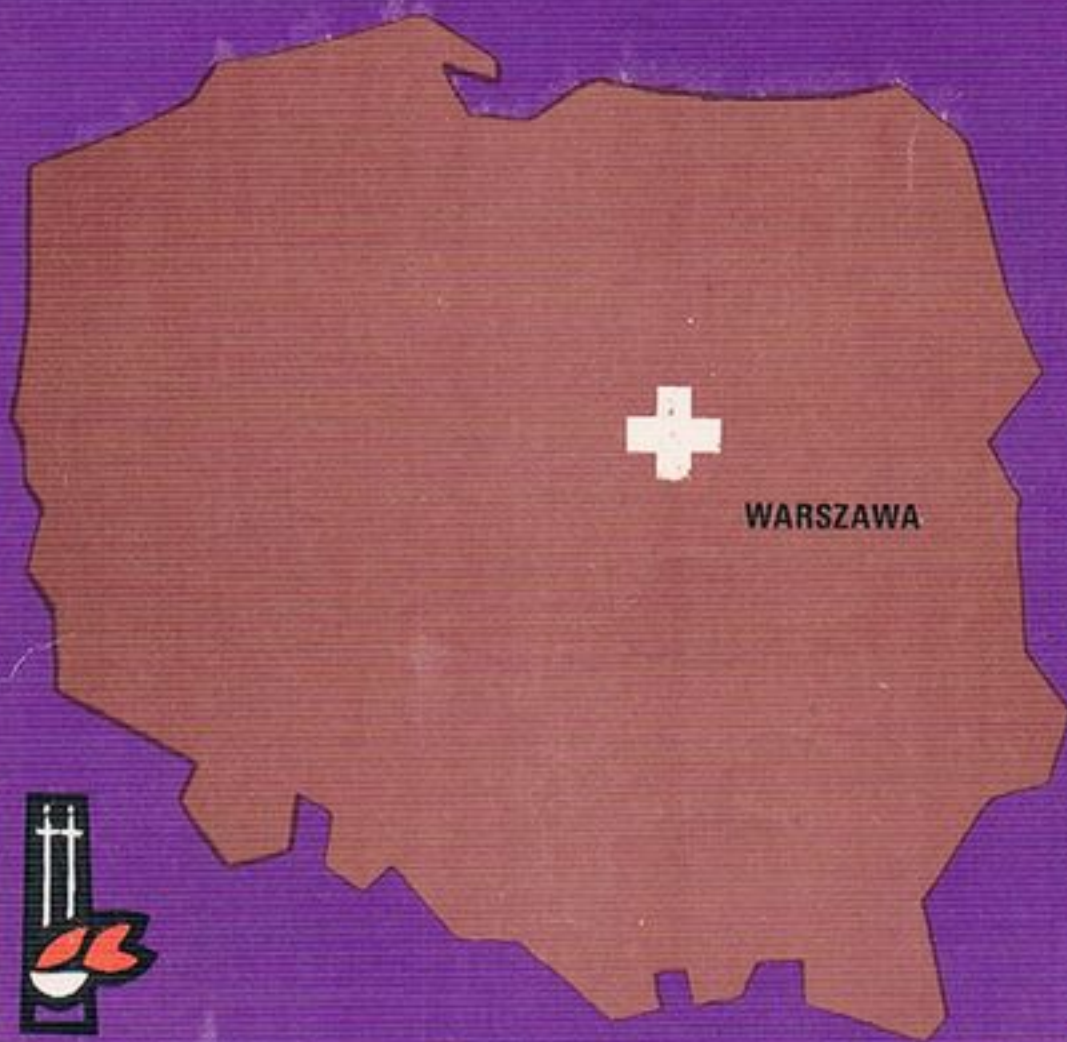


Stanisław Broniewski

AKCJA POD ARSENAŁEM

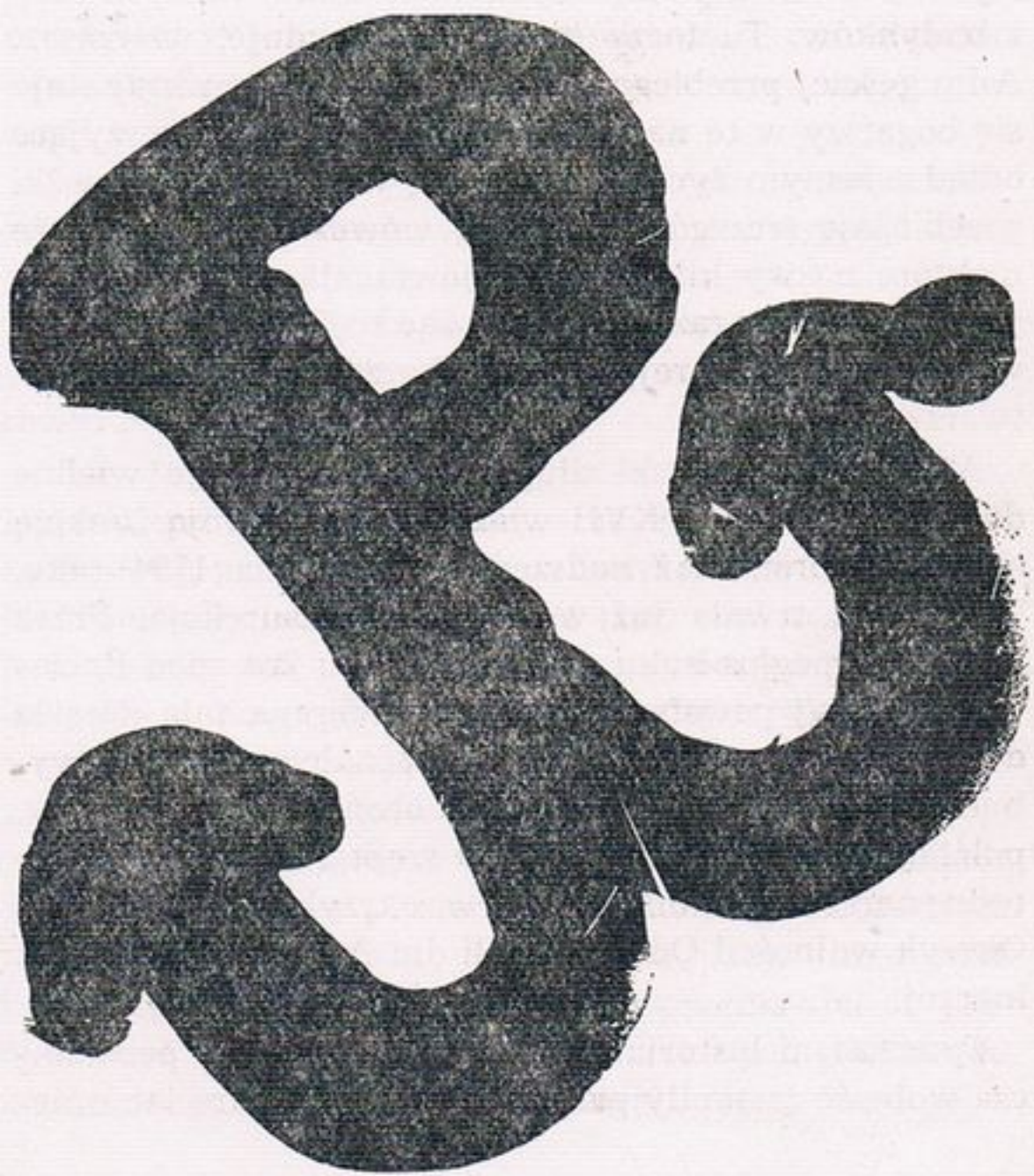


Okladkę i strony tytułowe projektował Włodzimierz Terechowicz
Strony rozdziałowe projektował Janusz Wysocki
Fotografie: CAF oraz zbiory prywatne autora
Redaktor techniczny: Helena Grzybowska-Styka
Korektor: Józef Lenarczyk



© Copyright by Wydawnictwo „Książka i Wiedza”,
RSW „Prasa-Książka-Ruch”,
Warszawa 1983

ISBN-83-05-11161-X



Są miejsca, które upodobała sobie historia. Omija ona często stare pałace czy nowoczesne gmachy państwowe, od początku swego istnienia zdające się oczekiwać wielkich wydarzeń. Przechodzi obok dawnych zamków granicznych czy dwudziestowiecznych umocnień z betonu i stali. Z szarzyzny geograficznych skorowidzów wydobywa nazwy zapadłych wsi, mało znanych ulic i budynków. Tu toczy bitwy, tu decyduje, wstrząsa... A im gęściej przebiegają ścieżki historii, tym kraj staje się bogatszy w te nazwy wydobyte z szarzyzny, żyjące odtąd własnym życiem. Są kraje, w których te ścieżki przebiegają szczególnie gęsto. I wówczas zdarza się, że niektóre nazwy kilkakrotnie powracają na karty dziejów, za każdym razem inną niosąc treść. Lecz treść nowa nie niszczy starej, tylko jakby z niej czerpie, przetwarza i wzbogaca.

Arsenał warszawski długo czekał na swoje wielkie dni. Zbudowany w XVII wieku spełniał swoją funkcję składnicy broni. Aż nadszedł 17 kwietnia 1794 roku. Od 25 dni trwała już w Krakowie insurekcja. Przez kraj szedł pogłos huku armat i szczęku kos spod Racławic. — Kraj powstawał. A gdy wezbrana fala dotarła do Warszawy, właśnie tu, pod Arsenalem, nastąpił wybuch. Tu ręce wyciągnęły się po broń; tu padły strzały, polala się krew; tu przyciszony szept zniewolonego narodu nareszcie zamienił się w okrzyk pełną pierśią. Okrzyk wolności! Od tej chwili dni Arsenалу biegły już inaczej.

Tymczasem historia szła naprzód. Wkrótce powstańczą wolność zastąpiły pruskie patrole. Co parę lat zmie-

niała się sceneria: armia napoleońska, Księstwo Warszawskie, przelotnie po raszyńskicj bitwie nie widziani tu jeszcze nigdy dotąd Austriacy, znów Księstwo, na koniec carskie pułki i dowodzona przez Wielkiego Księcia Konstantego znieważana, lecz trwająca z zaciśniętymi ustami, armia Królestwa Polskiego. Arsenał przeżywał wraz ze swym miastem dobre i złe dni. Jednak przeżywał je już inaczej. Szczególnie w dniach ciężkich i smutnych przemawiał do niejednego serca wspomnieniem wolności i entuzjazmu. Krzepił.

Aż nadeszła noc 29 listopada 1830 roku — najromantyczniejsza noc Warszawy. I wtedy znów Arsenał. Gdy przez wymarłe zda się ulice doszło tu rozpaczliwe już wołanie podchorążych: Do broni! — nastąpiła eksplozja wolności. Pękły bramy; otworzyły się okna: lud Starówki rozchwytywał broń.

Czas jednak biegł nieubłaganie. Powstanie, kapitulacja Warszawy i długa noc carskiego ucisku i niewoli narodowej, przerwana tylko na krótko zrywem 1863 roku. Nietrudno sobie wyobrazić, choć nikt tego nie zapisał, ile myśli, ile wzmożonych uderzeń serc wywoływał u przygodnych przechodniów Arsenał. Jakby z martwych murów promieniowała jakaś wielka energia więziona od chwili tamtych wybuchów.

Strzały pistoletowe i bomby 1905 roku, detonacje przy wysadzaniu w powietrze mostów przez odchodzące w 1915 roku wojska carskie, okupacja niemiecka i wreszcie — wolność. Arsenał stał, przemawiał do jednych, był zwykłym budynkiem dla innych. Pokoleniu urodzonemu po roku 1918 wydawało się, że to koniec

udręki, że tak normalnie już, a nie wśród strzałów i krwi, będzie biegł czas. Tymczasem trwało to tak krótko. Zaledwie dwadzieścia lat.

Wrzesień 1939 roku przewalił się lawiną ognia, potokami krwi, bohaterstwem i rozpaczą. Po nim nastąpiła przerażająca cisza. Naród odrętwiał, zastygł. I tylko przytłumione bicie serca mówiło, że to nie śmierć.

W tych ciężkich dniach mury Arsenału bardziej niż kiedykolwiek dotąd zapełniały powstałą pustkę, przypominały górną i chmurną przeszłość, oddziaływały na każdego, komu tędy wypadła droga.

Minęły już trzy lata wojny; trzy lata pełne piorunujących, zaskakujących za każdym razem zwycięstw niemieckich. Kłamstwo i podstęp, deptanie praw i terror, a za tym wszystkim sprawna, coraz butniejsza siła fizyczna — oto co łamało kolejno Polskę, Danię, Norwegię, Holandię, Belgię, Francję, Jugosławię oraz Grecję. Niezwyciężone zda się dywizje parły na wschód coraz głębiej i głębiej. Już drugi raz w tej wojnie sięgali Niemcy po zwycięstwo, drugi raz mieli je już prawie w dłoniach i za każdym razem zabrakło tak niewiele, by je pochwycić. Po pierwszym zawodzie w 1940 roku pozostała jeszcze druga szansa. Po drugim, w roku 1942, nie pozostało już nic. Po tym będzie tylko odpychanie widma klęski, klęski nieuchronnej, która idąc długie dwa i pół roku, przyjdzie wreszcie na ulice Berlina.

Pierwszy zawód to załamanie się planu, w którym

dla zabezpieczenia sobie tyłów i skrzydeł opanowali Niemcy kolejno większość krajów kontynentu, aż wreszcie, skupiwszy wszystkie siły desantowe i lotnicze, sięgnęli po Londyn. W upalne dni sierpnia 1940 roku po raz pierwszy w tej wojnie ważyły się losy świata. Obie strony rzuciły na szalę wszystko, i — szala po chwilach wahania skłoniła się na niekorzyść Niemiec. Świat odetchnął.

Niemcom pozostała druga szansa. Przystąpili do realizacji drugiego gigantycznego planu. Przez Włochy i Libię sięgnęli po Egipt, rozbiwszy na skrzydle Bałkany i pochwycając w śmiałym wyczynie Kretę. Przez równiny Związku Radzieckiego i góry Kaukazu sięgnęli po Bliski Wschód, stojąc na skrzydle pod Leningradem i pod Moskwą. Obie wyciągnięte dłonie zbliżały się do siebie, chcąc pochwytać bogactwo nafty i brzeg Oceanu Indyjskiego, na którym pokazywać się właśnie zaczęły japońskie łodzie podwodne. Gdy dziś wspomina się dni listopada i grudnia 1942 roku, wydaje się, że świat wstrzymał oddech, patrząc, jak po raz drugi chwieją się szale zwycięstwa. Bohaterscy żołnierze spod Stalingradu i spod El-Alamejn odmienili bieg historii.

Zima 1942/1943 roku nie była w Polsce specjalnie dokuczliwa. Nie można jej porównywać z dwiema pierwszymi zimami wojennymi, pełnymi mrozu i śniegu. Zaczęła się późno — jesień była długa i pogodna — jeszcze na Zaduszkę ludzie odwiedzali cmentarze ubrani tak jak w lecie.

A jednak było bardzo ciężko. Atmosfera frontu, któ-

ra w czerwcu 1941 roku po raz pierwszy od pamiętnego Września zawitała nad Wisłę i zelektryzowała wszystkich, odeszła znów daleko. Życie toczyło się nadal. Jego treścią była monotonia grozy. Groza kryła się za każdym rogiem ulicy, wywoływana była każdym dzwonkiem do drzwi, każdym rozlepionym afiszem. Wprowadzała ludzi w stan ustawicznego napięcia i niepokoju. Mimo że trwała już trzy lata, nie można się było do niej przyzwyczaić; nie można było o niej zapomnieć.

Wyobraźnia ludzka nie potrafiła sięgać do wolnych krajów, do wolnego świata. Wiadomo było, że on istnieje, lecz wydawał się być na innej planecie. Graniczył z legendą. Realizm codziennych doznań nie pozwalał na najmniejszą nadzieję. I jeśli nadzieja ta tliła się, a tliła się w każdym sercu, to było to na przekór doznaniom, na przekór rzeczywistości i logice. Realizm — to Wielka Rzesza sięgająca od Pirenejów do Wołgi i od Nordkap do Sahary. Realizm to codzienne komunikaty o zwycięstwach, to marsze, triumfy, parady, orderzy i awanse. To aresztowania, łapanki, zawiadomienia o śmierci w obozie, grypsy, więzienne tortury. To głód, kartki żywnościowe, brak węgla. To karty rozpoznawcze, karty pracy, napisy: *nur für Deutsche* (tylko dla Niemców), getta.

I cóż znaczyło, że tam gdzieś daleko, pod Stalingradem i pod El-Alamejn...

A jednak. Pod tą szarzyzną życia biło serce narodu. Rozrastała się, krzepła Polska Podziemna; usprawniała się jej organizacja, coraz szybciej i szerzej docierały

informacje ze świata. Narastała w społeczeństwie wielka, wzbierająca coraz bardziej fala nadziei.

Przywódcy polityczni i wojskowi w pewnym tylko stopniu kierują takimi falami. W większym oni sami ulegają ich wpływowi. Gdzieś na przecięciu świadomej woli kierowania i idącej poprzez kraj fali nastrojów leży decyzja wojskowych ośrodków kierowniczych w kraju — decyzja przejścia do ostrzejszych metod walki. Wówczas z pierwszego miejsca odnoszonych przez społeczeństwo wrażeń ustąpiły szeptane co rano nowiny, że na murach pojawiły się symbole nadziei — skomponowane w kształt kotwicy litery Polski Walczącej, że na propagandowych ulicznych mapach jakaś nieznana ręka przystawiła stempel z datą poniesionej w Rosji klęski napoleońskiej — 1812. Nocami budziły ludzi detonacje wysadzanych w powietrze mostów. Czasem w biały dzień rozlegało się parę pojedynczych strzałów.

Warszawa odegrała w tej wojnie rolę szczególną już od pierwszych dni walki. Obrona stolicy we wrześniu 1939 roku najbardziej przekonująco udowodniła światu, że Polska wykonała swe zobowiązania sojusznicze; armia polska biła się i tego czternastego dnia wojny, kiedy zgodnie z umowami miała ruszyć wielka ofensywa Zachodu, i wiele jeszcze dni później. Postawa ludu Warszawy, postawa jej bohaterskiego prezydenta Stefana Starzyńskiego zrodziły polski ruch podziemny o niezwykłej, nie spotykanej dotąd w świecie prężności, powszechności, bohaterstwie i sile. Jeszcze w czasie oblężenia Warszawy powołana została do ży-

cia pierwsza konspiracyjna organizacja wojskowa. Kierowany z Warszawy ruch konspiracyjny ogarnął całą Polskę, lecz tu, w stolicy, toczył się najbardziej wartkim nurtem. W wielkim mieście człowiek staje się anonimem, może się ukryć, zmienić nazwisko, pracować z nieznanymi sobie ludźmi. Może konspirować. O ileż trudniej o to w małym ośrodku miejskim czy na wsi. Główną przyczyną tak szeroko rozwiniętej konspiracji była jednak postawa mieszkańców stolicy.

Okupant nienawidził Warszawy. To było dla niej najlepszym świadectwem. Nie została stolicą Generalnego Gubernatorstwa. Miała stać się małym, stutysięcznym miastem etapowym.

Walczył cały naród. Nie tylko ci, co składali konspiracyjną przysięgę. Nie tylko ci, co byli jakoś ujęci w podziemnych ewidencjach, co mieli pseudonimy. Wokół była solidarna masa tych, co dawali konspiracyjne lokale na odprawy i szkolenia, tych, co pomagali, informowali, ostrzegali przed niebezpieczeństwem. Były rodziny konspiratorów: matki, żony... Byli obcy, nieznanymi ludzie zawsze życzliwi, zawsze ofiarni. Bez nich wszystkich konspiracja w Polsce nie przedstawiałaby takiej siły, nie mogłaby się zdobyć na taką aktywność i sprawność. Dzięki nim każdy żołnierz podziemnej armii czuł, że stanowi zbrojną siłę całego narodu, że go broni, w jego imieniu występuje.

Cały naród walczył, lecz gdy się przejrzy dziś, po latach, szeregi podziemnej armii, uderza wprost ogromny, chyba decydujący udział młodzieży. Nie sposób przejść obok tego zjawiska obojętnie, nie zastanowić

się nad jego przyczyną. Bo to nie tylko zwykły, powszechnie znany fakt, że młodzież żywiej, goręcej reaguje, że łatwiej podejmuje ryzyko, mniej docenia niebezpieczeństwo. Przede wszystkim zadecydowało wychowanie młodego pokolenia w głębokiej miłości Ojczyzny. Jego wojenna postawa, ta oczywistość, z jaką stworzyło największą, ochotniczą armię świata, to zasługa polskich domów rodzinnych i polskiej szkoły, a więc zasługa całego poprzedniego pokolenia, które przed laty wywalczyło Polsce niepodległość. Ono nauczyło, jak z trudem zdobytą niepodległość trzeba cenić i jak trzeba jej bronić.

Młodzież Warszawy była taka sama jak młodzież całego Kraju.

Szare Szeregi, czyli po prostu Związek Harcerstwa Polskiego, to jedna z tych licznych organizacji, które powstały spontanicznie, żywiołowo i stały się częścią Polski Podziemnej.

27 września, jeszcze podczas oblężenia Warszawy, ukonstytuowało się kierownictwo Szarych Szeregów. Jednocześnie jednakże z ogromnym naciskiem zano-
tować trzeba fakt, że gdy później wysłannicy tego kierownictwa ruszyli w teren, by powoływać do życia i organizować, wszędzie natrafiali na samorzutnie powstałe drużyny harcerskie. Organizacja wytrzymała uderzenie Września, ostala się i natychmiast stanęła do podziemnej pracy.

Jak miała wyglądać ta podziemna praca? Cel osta-

teczny był jasny i nie wywołujący dyskusji: odzyskanie utraconej niepodległości. Lecz droga do niego wymagała wyboru, decyzji. Były głosy, że na okres wojny trzeba zawiesić zadania wychowawcze harcerstwa, a główny nacisk położyć na stworzenie oddziałów wojskowych. I były głosy inne, że właśnie teraz, gdy straty biologiczne narodu są tak wielkie, trzeba się zająć pracą wychowawczą, pracą przygotowującą przyszłego żołnierza i przyszłego obywatela. Wybór nie był łatwy. Po dyskusjach i próbach wybrano drogę, która dziś, po latach, wydaje się najsluszniejsza. Na wyborze tym zaważyła wielka indywidualność pierwszego Naczelnika Szarych Szeregów, Floriana Marciniaka. Nie wybrano ani drogi: walczyć, ani drogi: wychowywać. Postanowiono wychowywać przez walkę. Wychowywać, bo tego tak bardzo potrzebuje niszczone naród, bo tego domaga się sytuacja stworzona przez długą, przewlekłą wojnę. Lecz wychowywać przez walkę, bo walka jest i musi być w tych strasznych czasach treścią każdego wartościowego Polaka. Wszystko inne wynikało już potem logicznie z tej tezy programowej: jeśli walka ma wychowywać, musi być ona prowadzona z całym oddaniem, z całą ofiarnością i rzetelnością, musi to być więc walka w pierwszej linii. I musi być ona oparta na solidnej pracy, szkoleniu, precyzyjnej organizacji, musi uczyć dobrej roboty, a nie bezmyślnego szafowania ludzkim życiem.

Realizując tę koncepcję Szare Szeregi stanęły do wielu służb, do wielu prac. Były to służby i prace kierowane przez Armię Krajową, lub wcześniej przez te

organizacje, z których ona wyrosła (Służba Zwycięstwu Polski, Związek Walki Zbrojnej). Były to służby różne: wywiad, tak zwany mały sabotaż, szkolenie, wielka dywersja. Jedne z nich były walką konspiracyjną, inne — przygotowaniem do walki jawnej w okresie powstań, w okresie przewalania się frontów; jeszcze inne — przygotowywaniem się do odbudowy kraju po wojnie. I wysunięto tezę, że ludzi nie wolno dzielić na tych, którzy mają walczyć w konspiracji, na tych, którzy mają się przygotowywać do walki jawnej i wreszcie na tych, którzy mają się przygotowywać do odbudowy. Przeciwnie, każdy członek organizacji musiał jednocześnie żyć wszystkimi trzema nurtami; tego żądała pełnia jego osobowości, tego wymagał sens dobrej roboty. Bo nie będzie jutro w pełni wartościowym żołnierzem ten, kto już dziś nie prowadzi walki jako konspirator; i nie będzie pojutrze w pełni wartościowym budowniczym ten, kto jutro nie będzie żołnierzem w mundurze, a dziś żołnierzem podziemia. To była szaroszeregowa konstrukcja programowa nosząca zrozumiały już teraz kryptonim: „Dziś, jutro i pojutrze”.

W porównaniu z tym, do czego przywykliśmy, patrząc na harcerstwo po wojnie, średnia wieku w Szarych Szeregach była stosunkowo wysoka. Istniała jednakże znaczna rozpiętość lat między najstarszymi i najmłodszymi członkami organizacji. Toteż zależnie od wieku poszczególnych członków można było wymagać od nich różnego wysiłku, różne przed nimi stawiać zadania. To było przyczyną decyzji podziału jed-

nostek organizacyjnych na trzy szczeble zależnie od wieku ich członków: najmłodszy 12—14-letni nosili kryptonim Zawisza, średni 15—17-letni — kryptonim Bojowe Szkoły i najstarsi, którzy mieli 18 lat i więcej — kryptonim Grupy Szturmowe. Każdy szczebel przeznaczony został do innych służb. Zawiszacy w walce „dziś” udziału nie brali, natomiast grami harcerskimi i ćwiczeniami przygotowywali się do pełnienia służby pomocniczej w powstaniu, a nauką szkolną do pracy w przyszłej Polsce. Bojowe Szkoły walczyły już w konspiracji, pełniąc służbę w małym sabotażu czy w wywiadzie; przygotowywały się do „jutra” tym wszystkim, co robiły „dziś” oraz szkoleniem wojskowym i motorowym; do odbudowy — wszystkim tym, co robiły „dziś” i co będą robić „jutro”, a ponadto nauką, zwykłą szkolną nauką, tępioną i niszczoną przez okupanta. Dla Grup Szturmowych walką „dziś” było pełnienie służby w oddziałach bojowych Kedywu Armii Krajowej. Do „jutra” przygotowywały się w szkołach podchorążych. Do „pojutrze” znów nauką szkolną, zdobywaniem wiadomości o tzw. Ziemiach Postulowanych, czyli naszych dzisiejszych Ziemiach Zachodnich i Północnych; miały tam iść i tam brać się do wymarzonej pracy przy odbudowie. Taki był program, który realizowano konsekwentnie i z uporem.

W Warszawskiej Chorągwi Szarych Szeregów podział na szczeble dokonany został na odprawie w nocy z 2 na 3 listopada 1942 roku. Też same nocy powstały

Warszawskie Grupy Szturmowe, utworzone z około 300 najstarszych członków Chorągwi Warszawskiej w większości od 18 do 22 lat. Z poprzedniego układu organizacyjnego przechodzili do Grup Szturmowych całymi zwartymi drużynami opartymi najczęściej na tradycjach drużyn przedwojennych. Całość Grup Szturmowych podzielono na cztery hufce po kilka drużyn każdy: hufiec Południe, który później przybrał nazwę „Sad” od wyrazów sabotaż — dywersja, oraz hufce Centrum, Wola i Praga. Komendę całości objął harcmistrz Tadeusz Zawadzki, pseudonim „Zośka”, który bezpośrednio podlegał komendantowi Chorągwi — „Orszy”, a wraz z nim i komendantami Bojowych Szkół i Zawiszy stanowił Komendę Chorągwi. Hufiec Południe objął harcmistrz Jan Bytnar, pseudonim „Rudy”, hufiec Wola — harcmistrz Jan Kopałka, pseudonim „Jasio z Woli”, wreszcie hufiec Praga — harcmistrz Henryk Ostrowski, pseudonim „Heniek”.

Drużyny wchodzące w skład Grup Szturmowych miały za sobą długi okres pracy konspiracyjnej. W wielu przypadkach jej początki sięgały jesieni 1939 roku. Różne dotąd pełniły służby, różne przechodziły szkolenia. Największą wychowawczą rolę odegrała niewątpliwie służba małego sabotażu. Była szkołą odwagi, poczucia odpowiedzialności, koleżeństwa w najtrudniejszych sytuacjach, rzetelnej pracy, dobrej, celowej i oszczędnej organizacji. Drużyny te dokonały wielu znanych w Warszawie czynów, prowadząc akcję małego sabotażu w ramach organizacji „Wawer”. Pokrywały mury Warszawy rysunkami żółwia — symbolu

sabotażu w pracy, kotwicami będącymi kompozycją liter P i W — Polski Walczącej, literą V oznaczającą Victorię — zwycięstwo. To one były szyby u fotografów wystawiających w gablotach niemieckie zdjęcia, gazami wypędzały ludzi z kin, będących narzędziem hitlerowskiej propagandy. To one zrywały niemieckie flagi, wieszały w święta narodowe — polskie, roznosiły polskie nielegalnie wydane dodatki nadzwyczajne do okupacyjnego pisma. Wszystko to wykonywane było z brawurą i fantazją, z inicjatywą i pomysłowością, a jednocześnie ściśle według precyzyjnego planu ustalonego z góry przez komendę „Wawra”. Przecież na jednolitości i jednoczesności wykonania polegał nie-raz główny efekt tej pracy. W „Wawrze” zdarzały się też akcje dowolne, nie zaplanowane z góry, wykonywane indywidualnie. Często brali w nich udział chłopcy z późniejszych Grup Szturmowych. To Janek Bytnar „Rudy” przerobił wielki propagandowy napis niemiecki głoszący „Jedźcie z nami do Niemiec” na „Jedźcie sami do Niemiec”. Tenże „Rudy” wymalował wielką kotwicę, znak Polski Walczącej, na cokole pomnika lotnika na placu Unii Lubelskiej, a więc tuż koło gmachu gestapo w alei Szucha. To Aleksy Dawidowski „Alek”, późniejszy członek Grup Szturmowych, jeden z drużynowych hufca Południe, zdjął niemiecką tablicę z cokołu pomnika Kopernika, dokonując tego o kilkadziesiąt metrów od bramy komisariatu policji granatowej.

Zgodnie z założeniami programowymi Grupy Szturmowe podjęły służbę inną, trudniejszą, twardszą, bez-

względniejszą: weszły w skład Oddziałów Dyspozycyjnych Kedywu Komendy Głównej AK. Dowódcą Oddziałów Dyspozycyjnych był major Jan Wojciech Kiwerski noszący pseudonimy „Lipiński”, „Rudzki”, a później „Oliwa”.

Jesień 1942 roku zeszła na intensywnym szkoleniu saperskim i bojowym, wielu członków Grup Szturmowych uczęszczało do Szkoły Podchorążych. Jednocześnie nie zaniedbywano prac samokształceniowych, dyskusji światopoglądowych, zwykłej nauki szkolnej.

Pierwsza próba bojowa nastąpiła w noc sylwestrową kończącą rok 1942, a rozpoczynającą tak brzemienne w wydarzenia dla Grup Szturmowych rok 1943. Dwa patrole minerskie wyruszyły wówczas, aby wysadzić w powietrze tory kolejowe. Jeden, dowodzony osobiście przez majora Kiwerskiego, ruszył pod Kraśnik, drugi na linię radomską. W kraśnickim patrolu byli m.in. „Zośka” i „Rudy”, w radomskim — „Heniek”. Rozpoczęto od kadry kierowniczej z zamiarem wciągania do akcji coraz szerszych kręgów członków Grup Szturmowych. Akcja powiodła się. Dla chłopców była ona ogromnym przeżyciem, granicą pomiędzy latami młodzięczymi a nadchodzącymi latami męskimi.

W Grupach Szturmowych spotkała się młodzież różnych środowisk, szkół, drużyn. Każda grupa wniosła swoje doświadczenia i tradycje do wspólnej zbiorowości. Zrodził się nowy styl, tak charakterystyczny, że aż niebezpieczny dla konspiracyjnej organizacji. O jego wytworzenie nie było zresztą trudno; bo choć młodzież była bardzo różna, o diametralnych zainteresowaniach

zawodowych, usposobieniach, strukturze fizycznej, to wspólnym mianownikiem wiążącym ją i będącym motorem działania była oczywistość Polski. Nie Polska sama, lecz oczywistość jej istnienia i prymatu jej spraw nad innymi sprawami. O Polsce się nie mówiło, tego wyrazu w ogóle się nie wymawiało. Wymawianie go było czymś krępującym, tak jak wymawianie imienia ukochanej dziewczyny. Polska po prostu była.

Środowisko, które szczególnie dużo wniosło do wspólnego stylu, które jakby w sposób naturalny objęło kierownictwo Grupami Szturmowymi, nadając im ton — to 23 Warszawska Drużyna Harcerzy im. Bolesława Chrobrego.

Drużyna ta działała przed wojną przy szkole o zasłużonej opinii, przy Państwowym Gimnazjum imienia Stefana Batorego. Wiele czynników wpłynęło na ten wychowawczy sukces. Niewątpliwą rolę odegrali wychowawcy o wybitnych talentach pedagogicznych i gorących sercach: nauczyciele i instruktorzy harcerscy. Wychowano wartościowych ludzi, stworzono środowisko silne i zwarte, którego nie złamał Wrzesień, które wśród szarzyzny konspiracyjnego życia nasycalo otoczenie pełną uśmiechu barwą swych harcerskich chust, teraz zachowaną tylko w nazwie: „Pomarańczarnia”.

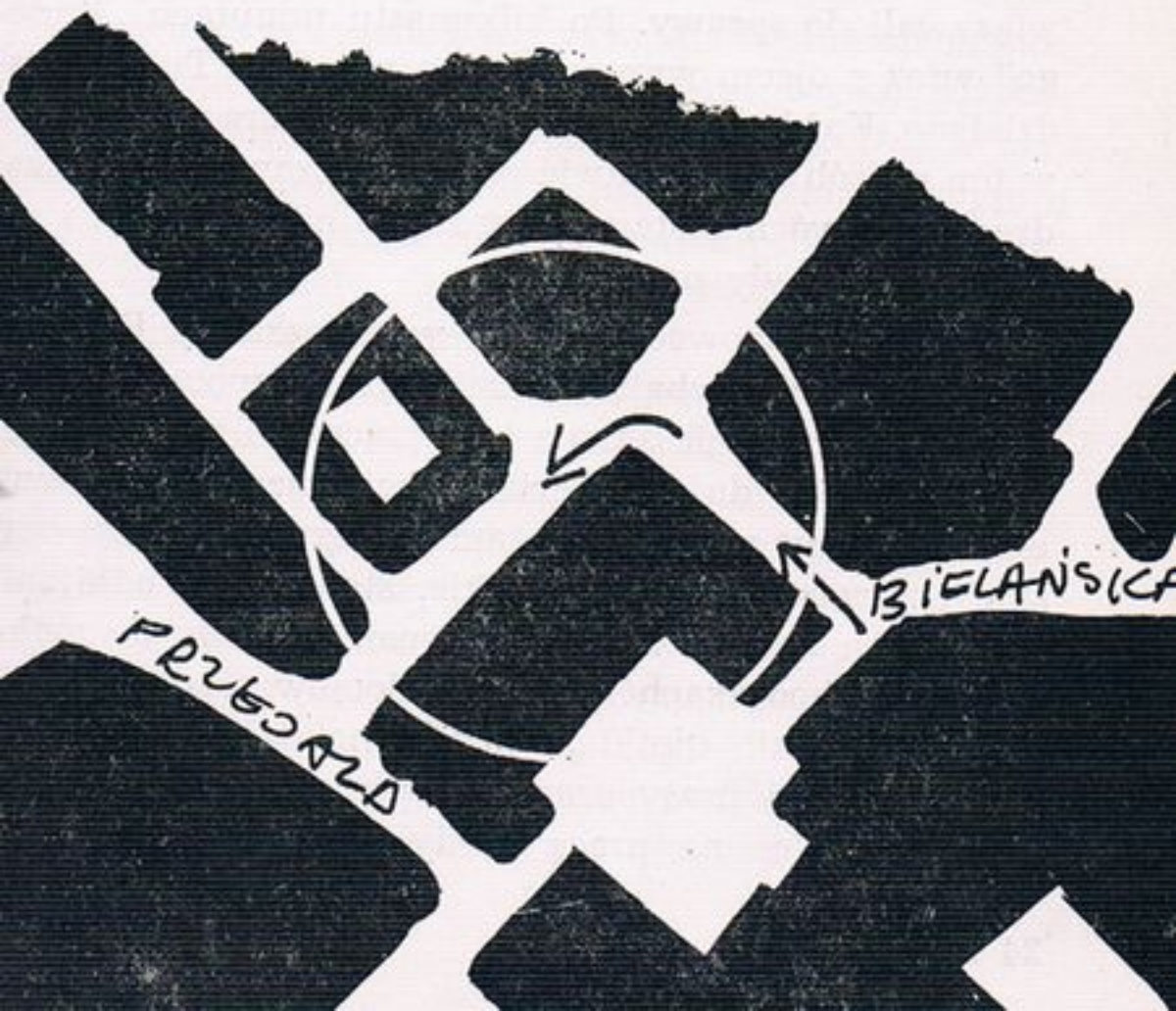
„Pomarańczarnia” nadawała styl całym Grupom Szturmowym, zaś w niej dominował jeden rocznik, jeden zastęp harcerski, jedna klasa gimnazjum. Rocznik 1920. Nie bez powodu jest o nim powieść. Był to bowiem rocznik szczególny. Urodzeni już po ostatnich strzałach przewlekającej się na ziemiach polskich za-

wieruchy I wojny światowej, otrzymali świadectwo dojrzałości przed Wrześniem, przed II wojną. Byli jedynym rocznikiem, któremu niewola nie zabrała ani jednego dnia od urodzenia do matury. To dla nich Polska była właśnie oczywistością.

W „Pomarańczarni” skupiło się ich siedmiu: Jan Bytnar — „Rudy”, Aleksy Dawidowski — „Alek”, Jerzy Masiukiewicz — „Mały”, Jacek Tabęcki — „Czubek”, Jan Wuttke — „Czarny Jaś”, Andrzej Zawadowski — „Gruby” i Tadeusz Zawadzki — „Zośka”. Łączyła ich przyjaźń męska, silna. Do Grup Szturmowych nie weszła cała siódemka; poprzednio, jeszcze w okresie prac małego sabotażu aresztowani zostali kolejno „Czubek” i „Mały”; przy podziale na szczeble dokonanym 3 listopada 1942 roku „Czarny Jaś” i „Gruby” pozostali jako instruktorzy w Bojowych Szkołach. W Grupach Szturmowych znaleźli się więc tylko trzej: „Zośka” — dowódca całych Grup Szturmowych, „Rudy” — dowódca jednego z czterech hufców oraz „Alek” — dowódca jednej z drużyn w hufcu „Rudego”.

Mimo że zmniejszyła się ich gromadka, nadawali ton całej „Pomarańczarni”, zaś „Pomarańczarnia” nadawała ton całym Grupom Szturmowym.

PRZED WALKĄ



Wnocy z 22 na 23 marca 1943 roku o godzinie czwartej trzydzieści do mieszkania rodziny Bytnarów przy alei Niepodległości 159 wtargnęło sześciu gestapowców. Od pierwszej chwili nie było wątpliwości, że zainteresowanie ich koncentruje się wokół „Rudego”. Odsunęli na bok otwierającego drzwi ojca i z pistoletem maszynowym gotowym do strzału rzucili się w kierunku pokoju „Rudego”; wołali przy tym ze źle udawaną serdecznością: Janek! Janeczek! Zerwanemu ze snu kazano natychmiast ubierać się. Jednocześnie nastąpiła szybka, pobieżna rewizja. Zachowanie gestapowców cechował pośpiech. Ich liczba oraz gotowa do strzału broń wskazywały ponadto na wagę, jaką przywiązywali do sprawy. Po kilkunastu minutach „Rudego” wraz z ojcem wyprowadzono na ulicę. Tu ich rozdzielono. Każdego wsadzono do innego samochodu, aby w ten sposób uniemożliwić porozumiewanie się podczas drogi. Po dwóch gestapowców zajęło miejsca obok i samochody ruszyły na Pawiak.

Dwóch gestapowców zostało w mieszkaniu. Po pewnym czasie przyjechało jeszcze kilku i rozpoczęło szczegółową rewizję mieszkania i należącej do niego piwnicy. Znaleziono dużo materiału obciążającego w piwnicy pod pryzmą węgla. Było tam całe archiwum „wawerskie”; zerwane flagi niemieckie, stempel do odbijania na murach znaku Polski Walczącej, szablony do malowania na chodnikach i ścianach domów różnych haseł, afisze, nalepki, ulotki... Znaleziono także komplety konspiracyjnej prasy oraz inne obciążające przedmioty, wskazujące na pracę w dywersji, a mianowicie:

krażki lontu prochowego i zapalnik naciśkowy „signal”. Z mieszkania zabrano ponadto kilka fotografii oraz kartę rowerową wystawioną na nazwisko kolegi.

Rewizja skończyła się około godziny dziesiątej i wówczas część gestapowców odjechała. Pozostało tylko paru czatujących na ewentualnych przybyszów, a w szczególności na konspiracyjnych kolegów „Rudego”, ponadto pilnowali babcię „Rudego”, która w czasie rewizji ubrała się pospiesznie i wyrażała chęć towarzyszenia aresztowanemu. Kazano jej pozostać. Ten stan trwał w mieszkaniu rodziny Bytnarów przez kilka następnych tygodni. W zasadzkę nie wpadł nikt.

W czasie aresztowania nie było w mieszkaniu matki „Rudego” oraz jego młodszej siostry, Duśki. Matka bowiem przebywała na wsi pod Warszawą, Duśka zaś nie zdążyła poprzedniego dnia przed godziną policyjną do domu i została na noc u znajomych przy ulicy Hożej. Obie ocalały. Dzięki temu powstała możliwość natychmiastowego alarmu.

Duśka, nie zdążywszy poprzedniego wieczoru do domu, a jednocześnie nie chcąc denerwować rodziny swą nieobecnością, zatelefonowała do państwa Bukowskich, sąsiadów, zajmujących mieszkanie poniżej Bytnarów. Prosiła o przekazanie wiadomości, informując jednocześnie o miejscu noclegu. To wystarczyło. Sąsiedzi słyszeli odgłosy dramatu rozgrywającego się w nocy i dlatego po upływie godziny policyjnej, ich syn, Staszek, popędził na Hożą. Tak więc podczas gdy w alei Niepodległości trwała jeszcze rewizja, zadyszana Duśka

nacisnęła dzwonek przy drzwiach wejściowych do mieszkania „Zośki”.

Wywołany „Zośka” ubrał się pospiesznie i wybiegł do przedpokoju. Na jego widok Duśka wyrzuciła z siebie: „Wzięli Janka i ojca!” To był początek alarmu w Szarych Szeregach. Duśka zajęła się teraz ostrzeżeniem matki oraz tych spośród znajomych, którzy mogliby wpaść w zasadzkę.

Na Pawiaku już w piętnaście minut po przywiezieniu aresztowanych rozpoczęto śledztwo. Przeprowadzali je ci sami gestapowcy, którzy dokonali aresztowania. Wszystko w dalszym ciągu wskazywało na wielki pośpiech. Badanie przeprowadzane na Pawiaku, a nie w gmachu przy alei Szucha i to natychmiast po przywiezieniu aresztowanych nie było zjawiskiem codziennym. Gestapowcy zdawali sobie sprawę z tego, że znajdują się na tropie, chcieli więc jak najszybciej pójść tym śladem i nie pozwolić na dokonanie przez organizację podziemną stosowanych zwykle w takich przypadkach niezbędnych zabezpieczeń: na opuszczenie zagrożonych lokali, zlikwidowanie w nich kompromitujących materiałów, powiadomienie osób, które mogłyby do tych lokali przyjść, a nawet usunięcie odpowiednich kart meldunkowych z centralnej kartoteki ewidencji ludności. Rozpoczął się więc dramatyczny wyścig między przebiegiem alarmu w Szarych Szeregach a prowadzonymi przez gestapowców gwałtownymi próbami wyrwania „Rudemu” jego tajemnic. To spowodowało szybkość i niezwykłą brutalność śledztwa. Postanowiono natychmiast złamać opór „Rudego”. Czte-

rech gestapowców było go z pasją pejcjami i kijami. Trwało to długo. Wreszcie wprowadzono aresztowanego wcześniej „Heńka”. Liczono, że wrażenie, jakie zrobi widok kolegi oraz cała podstępna reżyseria konfrontacji złamie ostatecznie „Rudego”.

„Heńka” zabrano cztery dni wcześniej. Przyczyny tego aresztowania nie zostały nigdy do końca wyświetlone. Jedno wydaje się pewne: już w chwili aresztowania gestapo posiadało o nim sporo informacji. Przede wszystkim wiedziało o jego pracy w dywersji; posiadało dość dokładny opis akcji wysadzenia w powietrze toru kolejowego pod Radomiem w noc sylwestrową z 1942 na 1943 rok, akcji, w której „Heniek” brał udział; posiadało ponadto informacje o szeregu imion czy pseudonimów — „Janek”, „Stefan” — a także zniekształcone nazwisko „Rudego”. Rewizja u „Heńka” na Osieckiej potwierdziła te wiadomości: w skrytce w stołku znaleziono kilka drobiazgów wskazujących na działalność dywersyjną. Było charakterystyczne, że o tym stołku gestapowcy wiedzieli przedtem, bo natychmiast po wejściu skierowali się do niego. To każałoby przypuszczać tzw. sypnięcie, jednakże dalej nie udało się wtedy w rozumowaniu postąpić, jeśli pojawiły się jakieś prawdopodobne lecz nie sprawdzone poszlaki na szczęście wiodły poza grono organizacyjne, do kręgu prywatnych znajomych „Heńka”.

„Heniek” został aresztowany wraz z żoną, poślubioną przed kilku zaledwie tygodniami. Aresztowano też podkomendnego z hufca „Grochów”, Ciszewskiego, który poprzednio przez kilka miesięcy ukrywał się na Osiec-

kiej — co raz jeszcze wskazywało na dobre rozpracowanie „Heńka” przez gestapo i potwierdzało tezę o „sypnięciu”.

W gestapowskim samochodzie udało się „Heńkowi” uzgodnić z Ciszewskim zeznania, które powtarzane później kilkakrotnie przez całą aresztowaną trójkę odsunęły od Ciszewskiego podejrzenia; wysłano go do obozu koncentracyjnego, skąd po wyzwoleniu powrócił. Żona „Heńka” zmarła w Oświęcimiu.

Przez kilka dni trwały badania „Heńka”; nie szczędzono mu bicia. Był zaskoczony i zdezorientowany ilością posiadanych o nim informacji. Do niektórych nie budzących wątpliwości zarzutów przyznał się; co do innych próbował pogmatwać śledztwo i zmylić trop. Między innymi, chcąc zmniejszyć liczbę poszukiwanych, podał, że zwierzchnik w dywersji „Stefan” i „Janek” — to jedna i ta sama osoba. W ciągu dalszych przesłuchań „Heniek” z zachowania gestapowców mógł się domyślić, że poszukują oni gorączkowo „Rudego”. Że mają jakieś nici, objeżdżają szereg ulic. W notatkach „Heńka” był zresztą zaszyfrowany adres „Rudego”, ale żadne pytanie na ten temat nie padło...

Nagle nastąpiła konfrontacja!

„Rudemu” odczytano wszystkie informacje, jakie gestapo posiadało o sprawie. Nadano im charakter zeznań „Heńka”. Była w nich również teza, że „Janek” czyli „Rudy” i „Stefan” to jedna i ta sama osoba, i że to jest zwierzchnik, przez którego wiedzie droga do

wyższych władz. Dla skatowanego „Rudego” było to strasznym ciosem. Czuł się zdradzony przez bliskiego towarzysza pracy i walki. Wstrząsnęło nim to do głębi, miał żal o to, że gestapo dowiedziało się tyłu szczegółów. Sądził, że tych wiadomości dostarczył Niemcom „Heniek”. Był wstrząśnięty, lecz się zaciął, nie powiedział nic. Wtedy znów rozpoczęło się bicie ze zdwojoną brutalnością, z gorączkowym pośpiechem. Wyścig z alarmem trwał.

O tym napisze za parę tygodni „Zośka” w swym pamiętniku:

Znamy bohaterstwo na polu walki, bohaterstwo żołnierza. Te chwile, w których odwaga żołnierska dochodzi do szczytu, gdy napięcie walki pozwala na zdławienie strachu i objawia się w najpiękniejszych czynach żołnierzy — bohaterów. Znamy je wszyscy z legend o naszych przodkach, ze wspomnień o naszej dalekiej i zupełnie jeszcze świeżej przeszłości. Symbol jego — to niebiesko-czarna wstążeczka Virtuti Militari na piersiach żołnierzy.

Ostatnie lata spędzone pod okupacją wroga były świadkami innego bohaterstwa, któremu nic równym być nie może. To już nie w walce równego z równym, to już nie w walce nawet beznadziejnej, to bohaterstwo innego wymiaru. Bohaterstwo człowieka wyrwanego w ciągu jednej minuty z domu, rodziny, pracy, wszystkiego, co mu bliskie, wyrwanego z roboty, którą ukochał i której się w stu procentach poświęcił, przeniesionego w ciągu jednej chwili na dno piekła!

I dalej, jakby odtwarzając nigdy nie wypowiedziane słowa „Rudego”:

Własny towarzysz, któremu wierzyłem, zawiódł, nie wytrzymał, wydał mnie. Czeka mnie śmierć, lecz nie na polu bitwy, nie skazańca nawet, któremu zostawiają ostatnie chwile spokojne do porachunku z sumieniem. Śmierć, którą tylko jako wyzwolenie traktować można, na którą się czeka i której się szuka, a której przyspieszyć nie można. A wczoraj jeszcze całe życie stało przede mną otworem, praca, miłość, przyjaźń dawały mi radość i szczęście. Myśl snuła ambitne marzenia przyszłości.

Dziś wszyscy najbliżsi zostali gdzieś poza rzeczywistością, a rzeczywistość to ból fizyczny, ból, od którego chroni tylko omdlenie albo śmierć. Oddech staram się dopasować w takt razów, dłonie są miażdżone obcasami na kamiennej podłodze, żebra łamane uderzeniami butów. Omdlały upadam na ziemię i w takim stanie zmuszam się do szalonego wysiłku woli, aby nie powiedzieć, żeby wytrzymać. Całkowita beznadziejność. — Musisz powiedzieć, albo bity będziesz do śmierci. I tu oprzeć się chceniu: — powiedzieć, a przestaną cię bić choć na chwilę, powiedzieć, a skończy się to piekło. To wymaga bohaterstwa, jakiego wyobrazić sobie nie można¹.

Jeszcze w alei Niepodległości trwała rewizja, a na Pawiaku gestapowcy wychodzili z siebie, by w toku

¹ Archiwum im. Floriana Marciniaka, Instytut Historii PAN.

pierwszego badania wydrzeć „Rudemu” jego tajemnice, gdy „Zośka” uruchomił już wszystkie mechanizmy alarmowe Grup Szturmowych.

Po pierwsze zawiadomieni zostali ci wszyscy, którzy znali adres „Rudego” i mogli, umówieni bądź przypadkiem, pójść do jego mieszkania. Akcja przebiegała błyskawicznie. Nie trwoniono minut, które tam, w nie-ludzkim napięciu woli, zarabiał dla nich „Rudy”. Wkrótce więc niebezpieczeństwo przypadkowego rozszerzenia zasięgu aresztowań zostało zażegnane.

Teraz przyszedł czas na następną fazę zabezpieczeń, na ewakuację lokali i powiadomienie osób, których adresy znał „Rudy”. To działanie może się wydać dziwne: jak to, więc nie ufano koledze, znając go, nie liczo na jego charakter?

Cała sprawa była gruntownie przemyślana w Szarych Szeregach; na ten temat przeprowadzono liczne dyskusje.

Wychodzono z założenia, że w pracy organizacyjnej, w pracy wychowawczej należy stawiać przed każdym bezwzględne wymaganie wytrzymywania na śledztwie, na torturach, traktowania tego dramatu, który każdego mógł spotkać i który był przecież poważnym prawdopodobieństwem w konspiracyjnym działaniu, jako największego egzaminu życiowego. Mało tego, specjalnie często przypominano o tym, zmuszając do wewnętrznych zmagania woli z rozbudzoną wyobraźnią. Ale jednocześnie przykładem i słowem uczono pełnego zrozumienia i serca dla tych, którzy odbywali swą największą próbę. Uczono nie opierać bezpieczeństwa or-

ganizacji na ich siłach i odporności. Nie tylko dlatego, że siły te mogły nie wytrzymać, lub że podstęp czy inne wyrafinowane sposoby mogły wyrwać strzęp tajemnicy. Uczono dlatego, aby aresztowany i torturowany czuł się nadal w szeregach walczących, aby czuł współdziałanie kolegów dokonywających zabezpieczeń ze swoim oporem osłaniającym te wysiłki.

Wszystko to, przemyślane i przedyskutowane zawczasu, podbudowane zostało jeszcze dodatkowym spostrzeżeniem, przekutym w zalecenie-przestrożę: gdy nastąpią gwałtowne wydarzenia, gdy cały porządek zda się walić, wówczas nie kierować się odruchem i impulsem, ale mieć w sobie przemyślane recepty postępowania, znów wypróbowane w wysiłku wyobraźni, działające jak wpojona w dobrej akcji szkolenia struktura bojowego rozkazu.

Dlatego zabezpieczano lokale. Najważniejsza była sprawa magazynu broni i materiałów minerskich, mieszczącego się w sklepie z zabawkami przy ulicy Sosnowej. Kilka łączniczek przydzielonych specjalnie z Komendy Chorągwi przeniosło zawartość magazynu w walizkach, torbach i teczkach częściowo do innego magazynu, znajdującego się na parterze w oficynie przy ulicy Ciepłej, a częściowo do skrytki podłogowej w kawalerce przy ulicy Szkolnej. Na takie właśnie awaryjne przypadki trzymał tę kwaterę Miłosław Ciepłak „Giewont” w pobliżu swego sklepu jubilerskiego. Do południa zarówno ta przeprowadzka, jak i zabezpieczenie innych lokali zostało zakończone.

Pomoc łączniczek z Komendy Chorągwi była możli-

wa dzięki bardzo wcześnie przekazanemu meldunkowi do komendanta Warszawskiej Chorągwi „Orszy”. Przecież wówczas poszczególne działania nie rozwijały się tak kolejno i systematycznie, jak to może być opisywane po latach. Wówczas wiele poleceń wydanych było równocześnie, wiele środków przygotowanych zawczasu, a myśli wyprzedzały działanie o całe godziny.

Jedna z tych myśli górowała nad innymi. Była to chęć wyrwania „Rudego” siłą z rąk gestapo. Myśl ta powstała w mózgu „Zośki” bardzo wcześnie tego dramatycznego dnia; kto wie, czy nie w chwili, gdy z ust Duśki padły ciągle teraz brzmiące słowa: „Wzięli Janka i ojca”.

Myśl odbicia „Rudego” objęła jak płomień całe Grupy Szturmowe — wszystkich funkcyjnych i szeregowych, czekających w alarmowych lokalach, bądź też dokonywających lub ubezpieczających przeprowadzane działania.

Rodząca się myśl wynikała nie tylko z potrzeby serc. Była także odbiciem idącej przez kraj fali. Fali domagającej się ostrzejszej walki, tę ostrzejszą walkę aprobującej.

Rok wcześniej, ba, nawet parę miesięcy wcześniej decyzja taka byłaby nieprawdopodobna. Teraz właśnie nadchodził czas, kiedy bezkarność niemiecka miała się definitywnie skończyć. Czas, w którym rozpoczynała się walka będąca mimo wszystko psychicznie walką równego z równym. Tliła się ona dotąd po lasach i gęstwinach partyzantki. Teraz wracała z powrotem do serca Polski — na ulice Warszawy.

Lecz dopiero wracała. Jak każda rzecz nowa kryła za sobą szereg niewiadomych; wśród nich najistotniejszą była reakcja Niemców na tak poważną akcję w stolicy — represje, jakie mogły nastąpić. Poczucie odpowiedzialności za Polaków, za mieszkańców Warszawy, czy choćby za mieszkańców domów otaczających teren akcji kazało szukać decyzji tych, którzy byli do takich decyzji uprawnieni. Działanie na własną rękę, na dnie którego była gorąca przyjaźń oraz namiętne pragnienie przyjścia przyjacielowi z pomocą, musiało spowodować, że przez mózgi przeleciał wyraz „prywatą”. Na brzmienie tego wyrazu wzdrygał się zaś każdy z nich. Zbyt wiele przeczytano, przedyskutowano w Szarych Szeregach o wadach narodowych, analizując przeszłość i snując plany na przyszłość — by wyraz ten nie działał jak ostry sygnał ostrzegawczy.

Tak więc cała sprawa skupiła się wokół starań o uzyskanie rozkazu pozwalającego na przeprowadzenie akcji.

Komendant Chorągwi „Orsza” był już całkowicie włączony w bieg wydarzeń. W małej kawiarence Wedla, róg Wilczej i Poznańskiej, czyli w lokalu przewidzianym właśnie do takich celów awaryjnych, chwycił niezbędne nici łączności. Całym sercem był za przeprowadzeniem akcji, a jednak szczególnie mocno stawiał sprawę odpowiedzialności, sprawę uzyskania pozwolenia.

Rozpoczęto starania. Łączność alarmowa zdawała wspaniale egzamin. Bardzo szybko powiadomiony zo-

stał o wszystkim Naczelnik Szarych Szeregów, Florian Marciniak. Gdy doszła doń wiadomość, w jednej chwili zrozumiał, że chodzi tu nie o sprawę jedną z wielu, lecz o atmosferę, o postawę całej kierowanej przez niego organizacji. Niezwłocznie uruchomił swoje możliwości, starając się jak najszybciej dotrzeć do właściwych władz wojskowych i uzyskać pozytywną decyzję.

W wyniku tych wszystkich zabiegów już w południe w dniu aresztowania „Rudego” nastąpiło decydujące spotkanie. Odbędzie się ono koło fontanny na terenie Politechniki Warszawskiej. Z Kedywu przyszedł zastępca dowódcy Oddziałów Dyspozycyjnych kapitan Mieczysław Kurkowski „Mietek”. Rozmówcami jego byli „Orsza” i „Zośka”. Na wstępie zła wiadomość, która zaciążyła na wszystkim: w Warszawie nie ma dowódcy Oddziałów Dyspozycyjnych majora Jana Wojciecha Kiwerskiego „Lipińskiego”; wyjechał na parę dni w teren, aby przeprowadzić rozpoznanie jakiejś przyszłej akcji. Zastępuje go „Mietek”. „Lipiński” poza tym, że bardzo był zżyty z „Zośką” i „Rudym” i wyczuwał atmosferę panującą w Grupach Szturmowych, umiał brać na siebie odpowiedzialność i podejmować decyzję. „Mietkowi” na jego szczeblu podjąć taką decyzję było znacznie trudniej. Rozpoczęła się wymiana argumentów i poglądów.

„Zośka” domagał się, żądał. Nie tylko wydania pozytywnej decyzji, ale wydania jej szybko, prawie natychmiast. Gorączka zajęć, z których się na chwilę rozmowy zwolnił, ogrom przygotowań piętrzących się przed nim powodowały, że zniecierpliwiony uderzał

butem o betonowe obramowanie fontanny, co chwila spoglądając na posuwającą się nieubłaganie wskazówkę swego zegarka. Wszystkie wysuwane wątpliwości i zastrzeżenia parował natychmiast. Wówczas jego głos potrafił zabrzmieć ironicznie. Wyraz twarzy zmieniał się od żądania, woli i zaciętości do prośby. Gdy „Mietek” wysuwał argumenty, że akcja jest wielkim ryzykiem dla oddziału, że ten cenny i starannie wyszkolony oddział może ulec zniszczeniu — „Zośka” z miejsca odpalił, że chodzi o siły 10 proc. oddziału, bo tyle tylko wejdzie do akcji. Gdy „Mietek” wysuwał z kolei, że nikogo, nawet Delegata Rządu dotąd nie odbijano, dlaczego więc „Rudy” miałby być pierwszym — „Zośka” nie miał wątpliwości: ...bo „Rudy” jest tego wart i „Rudy” ma przyjaciół, którzy decydują się to zrobić.

„Mietek” był w trudnej sytuacji. Decyzja wyraźnie przerastała jego kompetencje, jednakże serce nie pozwalało mu odpowiedzieć: „nie!”

„Orsza” usiłował uczciwie i rzeczowo zestawić wszystkie elementy decyzji. Wśród nich była również bardzo trudna do wyważenia sprawa atmosfery i postawy oddziału; odmowa mogła tę atmosferę zniweczyć. To była dla „Orszy” rzecz wielkiej wagi. Jednakże nie mógł przejść obojętnie obok groźby zniszczenia oddziału. Prawda, że to tylko 10 proc., ale to kadra, trzon, to najlepsi... Nad wszystkim górowała jednak odpowiedzialność za ludność, za miasto. Dlatego w końcu oczy zwróciły się na „Mietka”.

„Mietek” się waha. Czas biegnie. Musi paść choćby

tymczasowa decyzja. Podejmuje ją „Orsza”: niech przygotowania trwają, tak jakby akcja była na pewno przesądzona; w tym czasie postaramy się uzyskać jednak decyzję. To ostatnie skierowane jest do „Mietka”. Ten szczerze i z zapałem podejmuje się dalszych starań. Następne spotkanie, w wyniku którego musi zapaść ostateczna decyzja, zostaje umówione na krótko przed mającą nastąpić akcją i w pobliżu jej miejsca.

Czas i miejsce akcji były już w tym momencie przesądzone. Równoległe bowiem powstawał jej plan.

Wiadomo było, że według normalnej procedury gestapowskiej przez pierwsze kilka czy kilkanaście dni po aresztowaniu trwało śledztwo. Polegało ono najczęściej na codziennych przesłuchaniach odbywających się w alei Szucha. Podlegający śledztwu noc spędzali na Pawiaku. Rano, około godziny 8-ej, przewożeni byli do gmachu gestapo w alei Szucha, po południu około godziny 17-ej — odwożeni z powrotem na Pawiak. Zatrzymanie na noc w alei Szucha w piwnicznych celach należało do rzadkości. Ale się zdarzało, tak jak zdarzało się niecodzienne wożenie na śledztwo.

Przewóz z Pawiaka w aleję Szucha i z powrotem odbywał się samochodem ciężarowym renault. Numer samochodu — 72076 — i trasa — Nalewki, Bielańska, plac Teatralny, Wierzbowa, plac Marszałka Piłsudskiego (obecnie plac Zwycięstwa), Królewska, Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, plac Trzech Krzyży, Aleje Ujazdowskie, aleja Szucha — były znane ludziom podziemia pilnie zwracającym uwagę na każdą informację

o wrogu. Szczegółowszych danych dostarczył jeden z drużynowych hufca „CR” — Grup Szturmowych — Konrad Okolski „Kuba”, który niedawno z jakiegoś błahaego powodu aresztowany i świeżo wypuszczony na wolność, fachowym okiem bojowca zaobserwował mało ważne dla innych szczegóły. Według jego relacji w każdym takim transporcie wieziono około 20 aresztowanych. Siedzieli oni na wąskich ławeczkach, ustawionych w poprzek ciężarówki, plecami do kierunku jazdy, twarzą do wyjścia. Na ostatniej ławeczce, czyli najbliżej wyjścia, sadzano zazwyczaj kobiety stosunkowo najlepiej ubrane i najmniej skatowane na śledztwie. Ten rząd był bowiem ...łoczny z ulicy, Niemcy zaś dbali o pozory. Na dwóch krańcach tej ostatniej ławeczki siedziało dwóch gestapowskich konwojentów uzbrojonych w broń krótką. Dwóch innych, również z bronią krótką, zajmowało miejsca w szoferce. Obok nich kierowca — razem więc pięciu gestapowców. Więźniowie wsiadali i wysiadali po otwarciu tylnej klapy ciężarówki. Były to bezcenne informacje. Miały istotne znaczenie dla opracowania szczegółów ewentualnej akcji, umożliwiały ponadto podjęcie podstawowej decyzji: kiedy i gdzie uderzać. Z łańcucha Pawiak — transport — Szucha lub Szucha — transport — Pawiak, transport niewątpliwie był, nie tylko na pierwszy rzut oka, najsłabszym ogniwem.

Wprawdzie istniały również argumenty przeciw uderzeniu na transport. Pierwszy — to trudność uzyskania całkowicie pewnej informacji, że w transporcie znajduje się „Rudy”. Mógł przecież tego dnia nie być

wieziony z Pawiaka na śledztwo, a nawet wieziony, mógł zostać na następną noc w gmachu na Szucha. Podstawowym zaś założeniem było, że uderzenie musi być pewne; chybione mogło wręcz uniemożliwić ponowienie próby, gdyż gestapowcy niewątpliwie zastosowaliby nowe środki ostrożności, a poza tym stałoby się ono ostatecznym dramatem dla „Rudego”, skoro gestapo powiązało go z robotą bojową i dywersyjną. Co do tego zaś nie było wątpliwości; wystarczające dowody bojowej i dywersyjnej roboty znajdowały się w mieszkaniu i piwnicy „Rudego”. Drugim argumentem przeciw uderzeniu na transport była konieczność stoczenia walki w nieznannej sytuacji. Któż bowiem mógł przewidzieć, jaki będzie układ sił niemieckich, gdy padną pierwsze strzały. Czy wówczas w rejonie akcji nie znajdą się jakieś przypadkowe siły niemieckie, przejeżdżające samochody, przechodzące patrole?... Co innego, gdy dokonywany jest zamach, wykolejany pociąg... Zasadniczo oddział biorący udział w akcji obmyśla sposób i drogę swego odwrotu, lecz gdy wszystko zawiedzie, odwrot może się nie udać. Oddział może zginąć. Tu cały sens akcji to wyewakuowanie „Rudego”. Ten odwrot musiał się udać.

A jednak argumenty przeciw atakowaniu transportu nie mogły przeważać. Próby uwolnienia wprost z Szucha czy z Pawiaka, nawet przy zastosowaniu podstępu, spowodowałyby stoczenie dużej bitwy — na taką nie wolno było się ważyć. Poza tym groziła jej przewlekłość, co, przy alarmowych możliwościach ściągania rezerw niemieckich, równało się klęsce.

A więc transport. Trzeba tylko zrobić wszystko, by mieć pewność, że w tym transporcie jest „Rudy”. Ponadto trzeba tak wybrać miejsce i czas uderzenia, aby prawdopodobieństwo zetknięcia się z przypadkowymi siłami niemieckimi było najmniejsze, a na wypadek, gdy ten rachunek zawiedzie, mieć dostatecznie silny oddział własny, aby szybko rozstrzygnąć walkę na swoją korzyść.

Jak zdobyć pewność, że „Rudy” jest w transporcie? Gorączkowy wysiłek zmierzający do zdobycia potrzebnych informacji dostarczył w krótkim czasie dwa bezcenne klucze do całej sprawy. Przy ich użyciu już mógł powstać zupełnie realistyczny plan.

Pierwszy klucz to wiadomość od Naczelnika Szarych Szeregów, Floriana Marciniaka, że posiada kontakt z Pawiakiem i kontakt ten stawia do dyspozycji.

Drugi klucz to wiadomość od hufcowego Bojowych Szkół na Ochocie, Zygmunta Kaczyńskiego „Wesołego”, że ma kontakt z aleją Szucha.

Przy pomocy zgranych ze sobą informacji płynących poprzez powyższe kontakty można było już uzyskać pewność, czy „Rudy” znajduje się w transporcie, a więc — czy atakować, czy nie.

Na czym te kontakty polegały?

Najpierw kontakt z Pawiakiem.

Od przedwojennych czasów funkcjonowała w Warszawie organizacja społeczna pod nazwą „Patronat Opieki nad Więźniami”. Przedwojenna charytatywna działalność małej grupki osób stała się w czasie wojny niesłychanie ważnym instrumentem polskiej samo-

obrony i walki. Dostarczanie patronackich paczek do więzień stało się jedyną w zasadzie drogą, którą mogła przebiegać jako tako systematyczna informacja. Tak się złożyło, że jedną z aktywnych działaczek „Patronatu” była Wanda Opęchowska, pełniąca równocześnie w podziemnym życiu funkcję wiceprzewodniczącej Związku Harcerstwa Polskiego (Szarych Szeregów). To był punkt zaczepienia. Lecz istotne ogniwo w tym łańcuchu stanowił kto inny. Harcmistrzyni Helena Danielewicz, młoda, przystojna, elegancka pani, z odwagą i poświęceniem, z pozornym chłodem, a z gorącym sercem docierała tam, gdzie kto inny z Polski Podziemnej dotrzeć nie mógł. To był ów kontakt na Pawiak. To ona 23 marca około godziny 12-ej w południe przekazała Florianowi Marciniakowi informację, że „Rudy” został rano zabrany na Szucha. Spotkanie odbyło się na placu Teatralnym, w miejscu stosunkowo bliskim Pawiaka, aby jak najmniej tracić czasu. Godzina 12 była najwcześniejszym terminem, w którym Helena Danielewicz „Lola”, mogła dostarczyć wiadomość, uzyskaną od dr. Śliwickiego, współwięźnia Pawiaka, pracującego w izbie chorych. Tym samym odpadała możliwość uderzenia na konwój w drodze z Pawiaka na Szucha. Gdy ta informacja nadeszła i w zawrotnym tempie postępowały przygotowania, „Rudy” już od blisko czterech godzin przebywał w alei Szucha. Wiadomość, że on tam jest, wywołała dwie równoczesne fale uczuć w gronie przyjaciół: radość, że akcja będzie mogła się odbyć i ściśnięcie serc na myśl o dokonywanych w tej właśnie chwili torturach. Wzmocnionym wysiłkiem

przygotowań usiłowano zagłuszyć ten bolesny skurcz.

A więc „Rudy” jest na Szucha. Ogromne prawdopodobieństwo, że będzie wracał transportem na Pawiak. Prawdopodobieństwo, lecz nie pewność. A przecież uderzać można tylko wtedy, gdy istnieje pewność.

I tu przychodzi na pomoc drugi kontakt: kontakt z aleją Szucha. Hufcowy Bojowych Szkół na Ochocie Zygmunt Kaczyński „Wesoły” pracował w biurze sprzedaży firmy „Wedel”. Kiedyś jego zwierzchnik dał mu polecenie dostarczenia kilku paczek z wyrobami wędzarskimi dla jakichś gestapowców w alei Szucha. I tak się zaczęło. Wizyty na Szucha powtarzały się coraz częściej, a gestapowcy coraz milej widzieli przynoszone paczki. Przecież w miarę trwania lat wojny nawet tym „nadludziom” coraz bardziej przykrzyły się margaryny i inne namiastki. Ze swą czekoladą „Wesoły” mógł wszędzie trafić. I doszło do tego, że gdy chciał, sam mógł stworzyć pretekst pójścia na Szucha. Oczywiście nie za często. Oczywiście ostrożnie. Koledzy przez długi czas nie wiedzieli o tych możliwościach „Wesołego”. Jakoś było mu niezręcznie o tym mówić. Bał się, aby ten kontakt z Niemcami nie wzbudził podejrzeń. Było mu nawet ciężko z tym podwójnym życiem. Tym intensywniej, tym gorliwiej oddawał się pracy podziemnej. Był dobrym instruktorem harcerskim, był dzielnym działaczem podziemia. Później, gdy się już w najbliższym koleżeńskim gronie wydały jego gestapowskie kontakty, żartowali nieraz z niego przyjaciele, że gdyby kiedyś powinęła mu się noga, gdyby na jednej z odpraw, na jakimś ćwiczeniu terenowym czy w ja-

kiejś podróży służbowej wpadł — gestapowcy darliby pasy ze swego wedlowskiego dostawcy. Lecz to było później. Teraz, 23 marca wiedząc, jak bardzo potrzebny staje się ten kontakt na Szucha, „Wesoły” z ogromnym zakłopotaniem powierzył „Zośce” swoją tajemnicę. „Zośka” natychmiast zrozumiał wagę sprawy i przekonał „Wesołego” o konieczności złożenia o tym meldunku wyższym przełożonym. Florian Marciniak zastrzegł bezwzględna tajemnicę roli i możliwości „Wesołego” i osobista wyłączność dysponowania tymi możliwościami. Na chwilę bieżącą, to jest na czas przygotowywania akcji, przekazał to prawo kierującemu całością przygotowań „Orszy”.

Zostało ustalone, że „Wesoły” uda się na Szucha tak, aby móc stwierdzić około godziny 17-ej, czy „Rudy” sprowadzony jest do karetki, czy też w wyjątkowym trybie pozostanie na noc w celi na Szucha. Wiadomość miał niezwłocznie przekazać na stanowiska stojącego już w pogotowiu oddziału i w ten sposób przesądzić atak lub jego odwołanie. Tak było 23 marca. Gdyby kiedyś w przyszłości podobna sprawa powtórzyła się, wizyta „Wesołego” na Szucha miała nastąpić po sygnale „Loli” z Pawiaka, sygnale stawiającym jednocześnie oddział na stanowisko.

Lecz cała sprawa sygnalizacji nie kończyła się na wiadomości od „Wesołego”. Jeszcze ogrom trudności piętrzył się przed planującymi akcję. „Wesoły” musiał przecież opuścić gmach, dojść do najbliższego telefonu, połączyć się z jakimś aparatem znajdującym się w pobliżu stanowisk oddziału, a dalej ktoś odbierający tele-

fon „Wesołego” powinien dać znać dowódcy akcji. Wszystko trzeba było załatwić co najmniej na minutę, dwie, przed nadjechaniem więźniarki. Wymagało to jednak czasu. Po wyjściu z alei Szucha „Wesoły” mógł w ciągu czterech minut przejść do telefonu w kawiarni Domańskiego, mieszczącej się u zbiegu ulicy Koszykowej i 6-go Sierpnia (dzisiejsza aleja Wyzwolenia). Jeśli telefon był już obsadzony przez kogoś z oddziału — minuta wystarczała na połączenie i przekazanie wiadomości. Razem pięć minut. Do tych pięciu minut trzeba dodać jeszcze trzy dalsze, potrzebne na zaalarmowanie oddziału po otrzymaniu ostatecznej wiadomości. Mamy razem osiem minut. Przez ten czas gestapowcy załadowują więźniarkę, ruszają i jadą. Gdzie będą za te osiem minut? Rozpoczyna się znów wyścig pomiędzy spokojnie jadącymi, nie przeczuwającymi niczego gestapowcami, a nerwowo przekazywaną przez tyle ogniwi informacją. Czy ten wyścig jest w ogóle do wygrania, a jeśli tak, gdzie powinien stać oddział, aby wyścig rozstrzygnąć na swoją korzyść. Więźniarka jeździ szybko. Ale w osiem minut nie przejedzie całej trasy, nie schroni się w otaczającym Pawiak getcie, gdzie już oddziału ustawić nie sposób. Przeprowadzone rozumowanie narzucało więc od razu miejsce akcji. Musiało ono wypaść gdzieś pod koniec trasy, na niewielkim odcinku, na którym wyścig meldunku z samochodem wypadał już na korzyść meldunku. Niepokój o to, czy tyloczłonowy przebieg informacji gdzieś nie zostanie zahamowany, kazał ten niewielki kawałek trasy jeszcze bardziej skurczyć. Zadecydowa-

no, że trzeba wyszukać najlepsze taktycznie miejsce na odcinku pomiędzy placem Teatralnym a bramą getta.

Wybór padł na skrzyżowanie Bielańskiej z Długą, na wprost władysławowskiego Arsenału. Zdecydowały o tym względy taktyczne.

Spośród całości zadania, jakie stanęło przed wykonawcami, na czoło wysuwało się zatrzymanie więźniarki. Nie likwidacja gestapowskiej załogi, nie ewakuacja uwolnionego, nie osłona akcji, czy odskok oddziału — lecz zatrzymanie więźniarki. Tak czuli przyszli wykonawcy. Kryły się za tym, jak można sądzić, dwa powody. Pierwszy, wysuwany bezpośrednio po akcji przy analizowaniu przez uczestników jej przebiegu, rodził się z dotychczasowych doświadczeń Grup Szturmowych i całej przeprowadzanej w nich pracy ćwiczebno-szkoleniowej. Grupy Szturmowe przeznaczone były głównie do dywersji kolejowej i do wysadzania w powietrze wrogich transportów, mostów kolejowych, przepustów, tuneli. A więc w zasadzie zawsze chodziło o zamach na pociąg; jeśli bowiem nawet zniszczony miał być most czy przepust, to dążeniem wykonawców było zniszczenie go razem z pędzącym pociągiem. I musiała powstać psychoza, czy uda się zatrzymać tę rozpędzoną masę żelaza, czy nie zawiodą zapalniki, czy ręka nie naciśnie przełącznika za późno? Teraz wprawdzie pędzącą masę żelaza zastępowała mizerna ciężarówka, lecz jej szybkość, jej władczy klakson, jej obcość na ulicy stwarzały wrażenie pędu, który trudno zatrzymać. Takie wrażenia to realia, na wojnie i nie

na wojnie. Trzeba je uwzględnić w rachunku, gdyż na wynikach rachunku potrafią decydująco zaważyć. Na to wszystko nakładał się drugi powód, wówczas nie wysuwany, teraz, po latach, wydający się dominantą. Sięgał on jeszcze głębiej w psychikę przyszłych wykonawców. Trzeba sobie uprzytomnić: na terenie Warszawy Niemcy prawie bezkarnie wykonywali dotąd swe funkcje; cały wstrząs, który miał teraz nastąpić, cała zmiana sytuacji tkwiła właśnie w zatrzymaniu samochodu, w przeciwstawieniu się wszechwładnemu gestapo, w narzuceniu mu swojej woli. Walka, która miała nastąpić później, będzie już starciem równego z równym; jej przyszły przebieg mniej interesował, niepokoił. Uwagę przykuwał pędzący samochód.

Dlatego na niewielkim odcinku trasy między placem Teatralnym a bramą getta wybrano miejsce, gdzie przebieg ulic układając się w kształt litery „S” zmusi kierowcę ciężarówki do zwolnienia. Wtedy będzie łatwiej ją zatrzymać.

Wybór miejsca i plan walki decydowały się równocześnie. Na odprawie bojowej, która odbywała się o godzinie czternastej 23 marca w mieszkaniu Jurka Gawina „Słonia”, na ulicy Wilczej, wszystko było już przemyślane do końca.

Odprawę prowadził „Zośka”. Lecz już na krótko przedtem nastąpiła decyzja Floriana Marciniaka, że akcją będzie dowodził „Orsza”. Naczelnik Szarych Szeregów wychodził bowiem z założenia, że „Zośka” jest za bardzo osobiście zaangażowany, dlatego nie można pozostawić w jego rękach wszystkich decyzji. Nasuwa-

ła się tu wyraźnie analogia do sytuacji lekarza, gdy chodzi o operowanie przezeń kogoś bliskiego. Nie przeczuwał wówczas Florian Marciniak², że ta decyzja już tak niedługo, bo 8 maja tego roku, stanie się wzorem przy rozstrzyganiu podobnej sprawy. Tyle że wtedy zmieniają się role poszczególnych osób: to on, Florian Marciniak, będzie aresztowanym. To „Orsza” będzie zbyt osobiście zaangażowany uczuciowo, a „Zośka” przejmie wtedy dowodzenie akcją odbicia. Tak będzie za sześć tygodni — teraz na odprawie „Orsza” przejął od „Zośki” elementy dowodzenia.

Niepokój, czy uda się więźniarkę zatrzymać, wpłynął nie tylko na ostateczny wybór miejsca, lecz także na plan samego uderzenia.

Aż cztery przeszkody zdecydowano umieścić na drodze więźniarki. Pierwszą, która później w toku walki okaże się decydująco skuteczną, było obrzucenie szoferki samochodu butelkami zapalającymi z benzyną. Zadanie to otrzymało czterech członków oddziału, tworzących sekcję nazwaną „butelki”. Dowódcą sekcji został Janek Rodowicz „Anoda”; w jej skład weszli: Tadeusz Hojko „Bolec”, Henryk Kupis „Heniek” i Stanisław Pomykański „Stasiek”. Sekcja ugrupowana została na rogu Bielańskiej i Nalewek na wprost Arsenału. Uderzyć miała w momencie, gdy samochód po wyhamowaniu na krzywiźnie przerzuci już kierownicę na nową oś jazdy.

² Florian Marciniak aresztowany został 6 maja 1943 roku; wszelkie próby zmierzające do jego uwolnienia zakończyły się niepowodzeniem; zginął w Gross Rosen 20 lutego 1944 roku.

Gdyby uderzenie „butelek” chybiło lub okazało się nieskuteczne, wystąpić miała następna sekcja. Była ona ugrupowana o kilka metrów dalej, po tej samej stronie Nalewek. Miała za zadanie ostrzelać szoferkę samochodu z pistoletu maszynowego prawie prostopadle do osi jazdy, tak, aby kule, przesywając na wylot szoferkę, nie grzęzły we wnętrzu więźniarki i nie raniły więźniów. Oddział posiadał zaledwie dwa pistolety maszynowe, musiał więc starannie określić ich zadanie w nadchodzącej akcji. Trzyosobowa sekcja, kładąca tę zaporę, otrzymała od marki swej zasadniczej broni — nazwę „sten I”. Dowódcą sekcji, a zarazem obsługą stena został Maciej Bittner „Maciek”. Oprócz niego w skład sekcji weszli, jako osłona stena, uzbrojeni w broń krótką Eugeniusz Köcher „Kołczan” i Wiesław Krajewski „Sem”.

I znów o parę metrów dalej, po tej samej stronie Nalewek — trzecia zapora. Znów trzyosobowa sekcja, a podstawowym uzbrojeniem — jeden pistolet maszynowy. Lecz zadanie bezwzględniejsze, można by je nazwać: zatrzymanie za wszelką cenę. Sten ma bić pod kątem 45° do osi jazdy, a więc na skos w szybą szoferki, ryzykując już straty, jakie musieliby ponieść więźniowie. Byle tylko zatrzymać, jeśli poprzednie przeszkody okazałyby się niedostateczne. Ograniczony do kąta 45° skos był tylko po to, by sekcja ogniem swym nie raziła kolegów z sekcji poprzednich. Sekcja otrzymująca to bezwzględne zadanie nosiła nazwę „sten II”. Jej dowódcą i strzelcem obsługującym stena został Jerzy Gawin „Słoń”. W skład sekcji weszli

ponadto: Tadeusz Krzyżewicz „Buzdygan” i Tadeusz Szajnoch „Cielak”. Ich zadanie: osłona stena, uzbrojenie — broń krótka.

Ostatnią zaporę stanowić miała również trzyosobowa sekcja „granaty”. Zadanie — rozbicie czterema posiadanymi granatami motoru wozu. Dowódca sekcji Aleksy Dawidowski „Alek”; jej członkowie: Hubert Lenk „Hubert” i Jerzy Zapadko „Mirski”.

Dowództwo nad całością składającą się z tych czterech sekcji grupy „atak” objął „Zośka”. Z nim razem „atak” liczył czternastu ludzi zgrupowanych na kilkunastu metrach wzdłuż tej samej strony ulicy Nalewki.

Obok grupy „atak” w skład oddziału wchodziła jeszcze druga grupa — „ubezpieczenie”. Dowodził nią Miłosław Cieplak „Giewont”. Jej zadaniem było niedopuszczenie do terenu walki przypadkowych sił wroga, a w przypadku większych sił — meldowanie dowódcy o ich pojawieniu się. Innymi słowy, jej zadaniem było umożliwienie grupie „atak” wykonania zadania głównego. Podział wewnętrzny grupy „ubezpieczenie” wynikał z układu ulic w rejonie akcji. Zarysowały się mianowicie cztery kierunki, z których grozić mogło niebezpieczeństwo: Nalewki, Bielańska od strony placu Teatralnego, Długa od strony Starego Miasta i wreszcie Długa od strony przeciwnej. Tak też oddział musiał być ubezpieczony. Zdecydowano, że od strony Nalewek specjalnej sekcji ubezpieczenia sytuować nie trzeba. Rolę ubezpieczenia spełni przecież skrajna, najdalej na północ wysunięta sekcja „ataku”, dowodzona przez „Alka” sekcja „granaty”.

Od strony placu Teatralnego ubezpieczenie miała stanowić sekcja, której podstawowym zadaniem było sygnalizowanie zbliżającej się więźniarki. Rozwiązanie tego zadania omówić wypadnie dalej; na tym miejscu wystarczy podanie składu sekcji „*sygnalizacja*”. Tworzyli ją: Konrad Okolski „Kuba” — dowódca; ten sam, który niedawno uwolniony z Pawiaka tyle wniósł cennych informacji do rozplanowania akcji, Witold Bartnicki „Kadłubek” i Andrzej Wolski „Jur”.

Na dwóch krańcach ulicy Długiej miały stanąć typowe sekcje „*ubezpieczenia*” bez żadnych dodatkowych zadań: od strony wschodniej trzyosobowa sekcja „*Stare Miasto*” w składzie: Józef Sasaki „Katoda” — dowódca, a ponadto Stanisław Jastrzębski „Kopeć” i Żeliszaw Olech „Rawicz”. Od strony zachodniej natomiast czteroosobowa sekcja „*getto*” w składzie: Jerzy Trzciniński „Tytus” — dowódca oraz Feliks Pendelski „Felek”, Józef Pleszczyński „Ziutek” i Jerzy Tabor „Pająk”.

Dowódca grupy „*ubezpieczenie*” podlegał ponadto srodek ewakuacji, przy którym czuwali Jerzy Peplowski „Jurek TK” i Andrzej Zawadowski „Gruby”. Razem „*ubezpieczenie*” stanowiło trzynastu członków oddziału. Całość oddziału składającego się z dowódcy — „Orszy” i dwóch grup: „*atak*” oraz „*ubezpieczenie*” wynosiła więc 28 ludzi.

Na rozplanowaniu akcji, wielkości oddziału, jego podziale i ustawieniu zaważyły, obok postawionego sobie celu i obok zewnętrznych warunków, w jakich się akcja miała potoczyć, również środki, jakie stały do dyspozycji. Te środki to ludzie i sprzęt.

Ludzie! W Szarych Szeregach, a więc w organizacji młodzieżowej, która za cel postawiła sobie wychowanie — to sprawa najważniejsza, centralna. Warszawskie Grupy Szturmowe liczyły wówczas około 300 ludzi. Od listopada 1942 roku trwało wśród nich intensywne szkolenie bojowe. Czołówka ukończyła konspiracyjną Szkołę Podchorążych. Czołówka ukończyła kursy minerskie. A przecież przed listopadem też czas nie był zmarnowany: chyba wszyscy przeszli wyszkolenie pojedynczego strzelca i wyszkolenie motorowe. Można było wprost fizycznie odczuć, jak to teoretyczne przygotowanie narasta, pęcznieje. Lecz była to ciągle teoria. W ogniu było do tej pory niewiele: patrole minerskie w noc sylwestrową, akcja na Brackiej, kilka rozbrojeń Niemców. Jak teraz wybrać oddział do nadchodzącej akcji; która przecież musiała się udać. Do akcji kryjącej w sobie wielkie ryzyko, która, jako pierwsza akcja tego rodzaju, zawierała wiele niewiadomych, wiele znaków zapytania. Jak długo przeciągnie się walka? Jak szybko zadziała niemiecki system alarmowy? Czy uda się odskok, upodobnienie się do zwykłych przechodniów, przejście z powrotem do konspiracji? Groźba strat, zniszczenia oddziału męczyła podejmujących decyzję. Pamiętamy przecież rozmowę pod fontanną przy Politechnice. Jak więc wybrać oddział? Akcja musi się udać! To przeważało. Na akcję pójdzie czołówka. Zresztą mimo obaw i zahamowań, tego również wymagała długofalowa polityka kadrowa. Czołówka oddziału musi stać się pełnowartościowym elementem bojowym. Jeśli ma dowodzić, jeśli ma wychowywać, musi być wzorem w tym,

co stało się głównym narzędziem tego wychowania — w walce. Akcję miała więc przeprowadzić kadra. Wśród niej jeszcze przebierał „Zośka”, szukając tych, którzy byli bardziej zżyci z nim samym lub z „Rudym” i którzy z tego powodu bardziej rwali się do walki — gotowi na wszelkie ryzyko.

O liczebności oddziału zdecydowało stojące do dyspozycji uzbrojenie. W zasadzie każdą akcję dywersyjną wykonywał oddział składający się z jak najmniejszej liczby bojowców, wyposażonych we wszystkie potrzebne narzędzia walki i posiadających precyzyjnie określone zadania. Tymczasem do nadchodzącej akcji Grupy Szturmowe mogły zgromadzić tylko dwa pistolety maszynowe, kilka sztuk pistoletów zwykłych, sporo rewolwerów bębnekowych typu lebel, cztery granaty i dowolną liczbę butelek zapalających własnej produkcji. Tak więc często jakość uzbrojenia trzeba było nadrobić ilością. Ci, którzy nie dostali pistoletów zwykłych bądź maszynowych, wyposażeni zostali w dwa lebele; ponadto dostali po sześć sztuk zapasowej amunicji, chociaż trudno było mieć nadzieję na nabijanie bębnow w gorączce i pośpiechu walki. W sumie, mimo zestawienia aż dwudziestoosobowego oddziału, nie przedstawiał on poważnej siły ogniowej, a już zupełnie nie był przygotowany do walki na większy dystans. A to się zawsze może zdarzyć... i zdarzyło się.

Skromne było wyposażenie w broń, jeszcze skromniejsze — w inne potrzebne do akcji środki. Rozpaczliwa była sprawa środka ewakuacji. Oddział nie posiadał żadnego samochodu. Dziś to trudno zrozumieć. Nawet

w parę miesięcy później, po akcji, też było trudno zrozumieć, bo oddział miał już wtedy szereg aut, garaże, warsztaty. Przed oddziałem był jeszcze ten próg, nie tyle organizacyjny, ile psychiczny, po przekroczeniu którego samochody zdobywało się w walce, przemalowywało je, zmieniano numery. Przed progiem były na razie tylko gorączkowo prowadzone przez Jerzego Zborowskiego „Jeremiego” starania o kupno dekawki. Skoro starania te nie mogły być dostatecznie szybko uwieńczone pomyślnym rezultatem, środkiem ewakuacyjnym została wynajęta dorożka konna. Znużonym pasażerem czekającym w tej dorożce miał być „Gruby”, ubezpieczającym opodal — „Jurek TK”.

Podobnie jak przygotowanie ewakuacji kulał również sanitariat. Praktycznie go nie było. Opatrunki osobiste posiadane przez niektórych uczestników — to wszystko. Natomiast, mimo braku doświadczenia, należało przewidywać, że mogą być ranni, że może powstać potrzeba natychmiastowego zajęcia się ratowaniem uwolnionego „Rudego”. Łączniczki Komendy Chorągwi rozpoczęły gorączkowe poszukiwania. Usiłowano dotrzeć do zapasów mobilizacyjnych gromadzonych przez żeńskie drużyny harcerskie, lecz na wszystko było bardzo mało czasu. W momencie odprawy na Wilczej zarysowywały się dopiero pewne nadzieje, że coś da się załatwić.

Odprawa dobiegła końca. Zarządzono, by wszystkie przygotowania dokonywane były nadal w największym

pośpiechu. Ostateczna decyzja miała zapasć na ustalonym poprzednio spotkaniu: „Mietek”—„Orsza”—„Zośka”.

Do akcji pozostało już niewiele czasu. W lokalach poszczególnych drużyn i zastępów kończono instruowanie przyszłych wykonawców: dokonywano ostatnich wysiłków, by kilku zapóźnionych, do których nie dotarł jeszcze sygnał, postawić w stan alarmowy. W magazynach kończono czyszczenie broni, wydawano amunicję, granaty, butelki.

Nadchodziła godzina koncentracji oddziału, polegająca na punktualnym zajęciu przez poszczególnych uczestników wyznaczonych im w planie stanowisk. Łatwo powiedzieć: koncentracja. Lecz pod tym słowem kryje się dwadzieścia osiem dróg przez miasto z bronią i amunicją w kieszeniach, z granatami i butelkami w teczkach, ze stenami wypychającymi płaszcze. Pod nim kryje się konieczność precyzyjnej punktualności, mimo napotykanym na mieście patroli, mimo zakłóceń komunikacji. Pod nim kryje się wreszcie to najtrudniejsze: wkomponowanie się w tło ulicy, udawanie obojętności, podczas gdy serce wali jak młotem, gdy oczy rejestrują każdy najmniejszy ruch wokół, a uszy reagują na każdy najmniejszy szmer.

„Mietek” nadszedł również w momencie koncentracji. Na jego widok stojący już na stanowisku dowodzenia „Orsza” i „Zośka” poderwali się nerwowo. Czekali na jedno słowo. Tymczasem z pierwszego już zdania wynikało jasno, że decyzji nie ma, że od spotkania pod fontanną nic nie postąpiło. Kontaktów z wyższymi

przełożonymi nie udało się nawiązać, Kiwerski nie wrócił. „Mietek” pozostał sam z trudną decyzją. Informacje o gotowości oddziału, wpatrzone w niego oczy dwóch rozmówców — wszystko to zahamowało wypowiedzenie negatywnej decyzji. W głowie kłębiły się myśli: „Rudy”, oddział, gotowość do walki, odpowiedzialność... W oczach stała nieszczęsna dorożka ewakuacyjna, wyobraźnia nasuwała niedostatki sanitariatu... W tym momencie meldunek o telefonie od „Wesołego”: „Rudy” jedzie! Więc mimo wszystkich trudności cała koronkowa robota wywiadu, sygnału, koncentracji przebiegła sprawnie. Teraz już tylko walka. Sekundy... wahanie trwa... odpowiedzialność... prywatnie... karność... sekundy... Przerywa głos „Orszy”: „Decyduję odwołanie akcji!”



Arsenal



**Stanisław Bytnar –
ojciec „Rudego”**



**Janek Bytnar
„Rudy”**

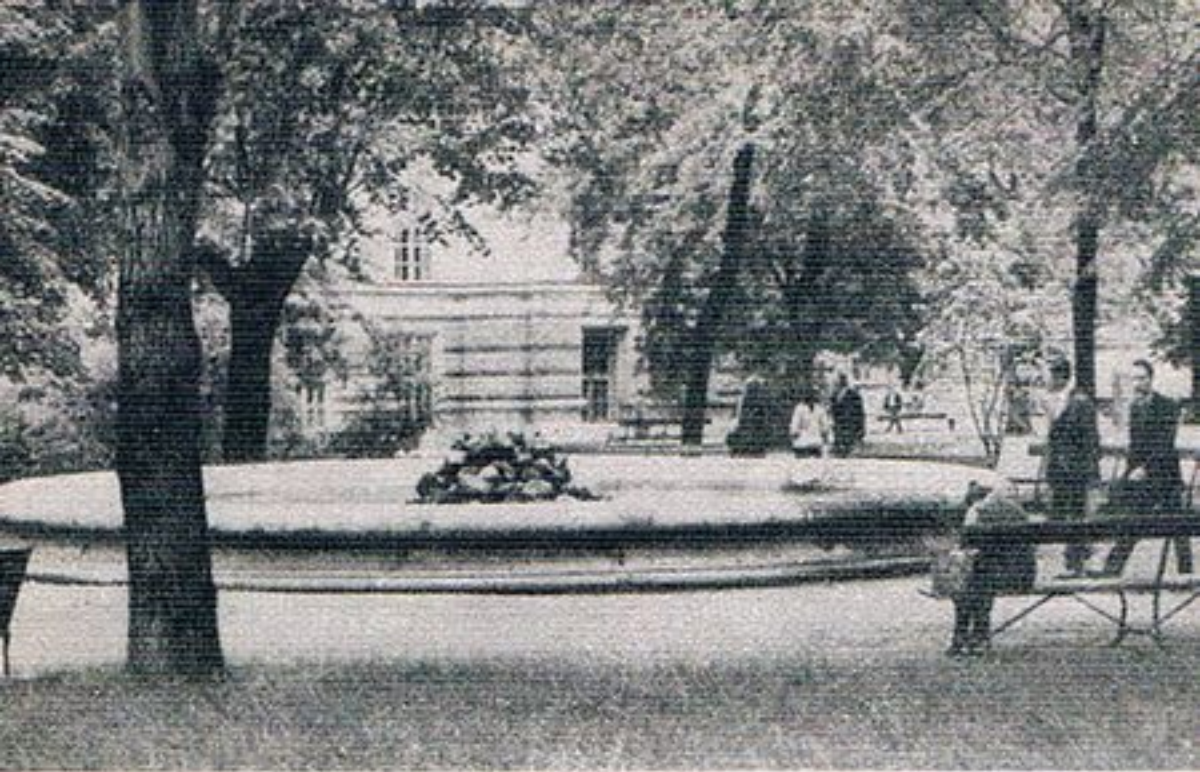
**Aleje Niepodległości 159 – brama domu,
w którym mieszkał „Rudy”**



**Tadeusz
Zawadzki
„Zośka”**



**Prof. Józef Zawadzki -
ojciec „Zośki”**



Fontanna przy Politechnice



Kpt. Mieczysław Kurkowski



Andrzej Zawadowski „Gruby”

Sekcja „sten I”



**Maciej Bittner
„Maciek”**



**Eugeniusz Köcher
„Kolczan”**



**Wiesław Krajewski
„Sem”**

Sekcja „sten II”



Jerzy Gawin „Słoń”



Tadeusz Krzyżewicz „Buzdygan”



Instytut Głuchoniemvch i Ociemniałych



Florian Marciniak



Mjr Jan Wojciech Kiwerski



Józef Sasaki „Katoda”



Jan Rodowicz „Anoda”



Brama domu Długa 29



Aleksy Dawidowski „Alek”



Ulica Długa 38/40



Mirosław Cieplak
„Giewont”



Konrad Okolski
„Kuba”



Feliks Pendelski
„Felek”



Józef Pleszczyński „Ziutek”



Jerzy Zborowski „Jeremi”



**Domek inż. Mirowskiego
przy ul. Ursynowskiej 46**



Tadeusz Mirowski „Oracz”



Adam Mirowski

**Ul. Kazimierzowska 15 –
mieszkanie prof. Gustawa
Wuttke**



Dr Andrzej Trojanowski



Jan Wuttke „Czarny Jaś”



Wanda Opęchowska



Dr Jan Bogdanowicz



Witold Zdanowicz „Butrym”



Haremistrz Lech Domański

**KAMIENIE
NA SZANIEC**

WYWIADANIE
O WOJNY I CZARNYM



KOTT
WARSZAWA, LIPEC 1942 ROKU



**Okupacyjne wydanie
Kamieni na szaniec
Aleksandra Kamińskiego**

**Aleksander Kamiński.
Zdjęcie z 1960 r.**



**Wspólna mogiła
„Alka” i „Rudego”**



Arsenal dziś

Komunikat o akcji pod Arsenalem w „Biuletynie Informacyjnym”



BIULETYN *informacyjny*

Rok V

Warszawa, 15 kwietnia 1943 r.

Nr. 15 (170)

Komunikaty

W dn. 30 marca 1943 r. o godz. 15 w Warszawie w cukierni „Europejskiej” przy ul. Marszałkowskiej patrol bojowy SM Zbrojnych w Kraju zlikwidował dwóch oficerów Gestapo, przybyłych z Krakowa ze specjalnym zadaniem.

Kier. Walki Konspiracyjnej

7.IV.1943 r.

Bilans akcji bojowej, przeprowadzonej w dniu 26.III. na ulicy Bielańskiej, wynosił:

- uwolniono 25 więźniów, z czego jeden, skatowany na ul. Szuca, zmarł po uwolnieniu.
- straty własne: 2 rannych.
- straty nieprzyjaciela: sabiel — 1 oficer SS, 4 funkcjonariuszy Gestapo; ranni — 2 agentów cywilnych, 2 policjantów granatowych.



W TYM MIEJSCU 20. VIII 1945 R.
W WIELCE Z HITLEROWCAMI ODDAŁ SWOJE ŻYCIE ZA POLSKĘ
HARCERZ SZARECH SZEREGÓW DILNARCI MISTRZ PODPORUCZNIK
TADEUSZ ZAWADZKI „ZOŚKA”
ODZNACZONY KRZYŻEM WIRTUTI MILITARI KL. V
I DWUKROTNIE KRZYŻEM WALECZNYCH
TABLICA TA W HOŁDZIE SWEMU BOHATEROWI UPADŁEMU
26 WARSZAWSKA ODREZYNA HARCERZY I KOSO PPTAL
HARCERSTWA W PISZCZOLICIE BUDOWANA

Tablica pamiątkowa we wsi Sieczychy,
gdzie zginął Tadeusz Zawadzki „Zośka”

Długa

W TYM MIEJSCU
DNIA 26 MARCA 1943 R.
ODDZIAŁ HARCERSKICH
GRUP SZTURMOWYCH
SZARZYCH SZAFERÓW
PRZEPROWADZIŁ
DANA AKCJĘ BOJOWĄ
KWALIFIKACJĄ
53 WIEZNIÓW
PRZEWOZONYCH PRZEZ
GESTAPO DO W. A. I.
SZUCHANIEC PSYJAK

Tablica pamiątkowa wbudowana w budynek Arsenalu

ZNÓW PRZED WALKĄ



W szaroszeregowym piśmie konspiracyjnym „Brzask” ukazała się później gawęda „Orszy” o tych chwilach. Gawęda o karności:

(...) decyduję odwołanie akcji. Jestem przygotowany na protest, na wybuch argumentów. Mija chwila milczenia — auto za parę minut nadjedzie. Trzeba powiedzieć chłopcom, że „Rudego” tym razem nie wiozą, inaczey odwołanie akcji wywoła wielkie załamania — „Zośka” mówi to spokojnym, dziwnie spokojnym głosem. Patrzę mu w oczy, ściskam mu dłoń, nie odpowiadam ani słowa. Zarządzamy odwołanie akcji z motywowaniem obmyślonym przedtem przez „Zośkę”. Po trzech dniach, po powtórnie zmontowanej i doprowadzonej do zwycięskiego końca walce, dowiedzą się dopiero całej prawdy. Tymczasem ostatni z nich znikają za rogiem ulicy. Pozostajemy we trzech na skrzyżowaniu Bielańskiej i Długiej. (W gawędzie podano we dwóch, aby nie komplikować czytelnikowi opisu przez wprowadzenie jeszcze jednej postaci — „Mietka”). Od strony placu Teatralnego jedzie auto więzienne. Wiemy, że jedzie w nim „Rudy”; dzieli go od nas zaledwie parę metrów. Czuję, jak „Zośka” zaciska dłoń na pistolecie, a myśl w mózgu układa się w jeden tylko wyraz: karność, karność, karność. Auto znika w ulicy. Bez słowa zawracamy ku Śródmieściu. Mam pełne przeświadczenie, że byłem świadkiem najwyższego misterium pojęcia karności(...)³.

³ Gawęda pt. Stach. „Brzask. Pismo Młodych”, nr 1/28/15 II 1944; ze względów konspiracyjnych pseudonimy „Zośka” i „Rudy” zastąpiono pseudonimami „Stach” i „Czarny”.

Nastąpiły teraz trzy, wydające się długimi tygodniami, dni. Major Kiwerski nie wracał. Informacje z Pawiaka i z alei Szucha mijały się. Korzystny zbieg okoliczności, jaki miał miejsce w pamiętnym dla wszystkich dniu 23 marca, nie chciał się powtórzyć. Po przeżyciach tego dnia wszyscy teraz parli do akcji: „Lola” i „Wesoły” wychodzili z siebie, by na czas dostarczać dokładnych informacji, Florian Marciniak i „Orsza” walczyli o decyzję. Dla każdego z tych ludzi sprawy „Rudego”, „Zośki”, ich przyjaźń i dramat — stały się osobistymi sprawami. A jednak najwięcej przeżywał „Zośka”. Ukradkiem spoglądał na noszoną w kieszeni fotografię przyjaciela; „wytrzymaj jeszcze trochę” — myślał, argumentując, poprawiając niedociągnięcia przygotowań, nie tracąc nadziei.

Wiadomości z alei Szucha i z Pawiaka nadchodziły złe.

Gestapowcy z coraz większą pasją usiłowali dowiedzieć się czegoś od „Rudego”.

Całemu badaniu towarzyszyło nieustanne bicie — pisał później w swych wspomnieniach „Zośka” — zasadniczo w trzech postaciach: na stojąco, na stołku kijem, pejczem i pięścią oraz na leżąco, gdy mdlał, kopano butami w brzuch, między nogi i miażdżono butami dłonie na kamiennej podłodze. Przystano go bić kijem dopiero wtedy, gdy kij złamano mu na głowie... Znalezionymi stemplami „Polska Walczy” nie omieszkało mu natychmiast ostemplować twarzy i głowy... Gdy chciał zemdleć, nadstawiał głowę pod kije i mdlał... musiano

go nosić na noszach lub ciągnano go za ręce omdlałego, włączając nogami i głową po schodach... Główną myślą „Janka” była obawa, czy wytrzyma przed śmiercią i jak odebrać sobie życie wcześniej...⁴

A Leon Wanat w książce *Apel więźniów Pawiaka* wspomina:

Z badania na Szucha wrócił ledwie żywy. Nazajutrz zaniecono go do szpitala więziennego. Choć stan „Janka” był bardzo ciężki, zabrano go na noszach na nowe badania na Szucha...⁵

Strzępy tych informacji przedostawały się na zewnątrz. Przez „Lolę”, przez „Wesołego”. Trudno zapamiętać spotkanie z „Wesołym” na mostku w parku Ujazdowskim w kilka chwil po jego wyjściu z alei Szucha. „Wesołemu” słowa więzły w gardle. Postanowiono, aby wiadomości tych nie dopuścić do „Zośki” — dowiedział się o nich później, już z ust przyjaciela.

„Rudy” był na śledztwie we wtorek, czwartek i piątek. W piątek wykończono raport — zanotuje później „Zośka” — bito go już mniej, zapowiadano zmuszenie go do powiedzenia prawdy w sobotę...⁶

Tymczasem praca w oddziale trwała. Mniej gorączkowa i z mniejszą wiarą w celowość, skuteczność.

⁴ Archiwum im. Floriana Marciniaka.

⁵ Leon Wanat, *Apel więźniów Pawiaka*, wyd. II, Warszawa 1976, s. 50.

⁶ Archiwum im. Floriana Marciniaka.

„Jeremi” doprowadził do końca transakcję nabycia dekawki. Nareszcie był jakiś sensowny środek ewakuacji. Marny bo marny: słaby, hałaśliwy, powolny... Ale był. Dorożka została skreślona z planu akcji. Miejsce „Grubego” — pasażera dorożki — zajął teraz „Jeremi” — szofer. W liczebności i podziale wewnętrznym oddziału nie zmieniło się nic.

Nareszcie też udało się zorganizować sanitariat z prawdziwego zdarzenia. Miejsca nań użyczyli w swym domku rodzice jednego z kolegów, pp. Mirowscy. Było to świetne miejsce: domek jednorodzinny przy ulicy Ursynowskiej 46, a więc już w cichym, spokojnym rejonie ulicy, oddalonym od Puławskiej. (Należy pamiętać, że aleja Niepodległości nie odgrywała w owym czasie roli ruchliwej arterii, szczególnie w tej swojej części, do której dobiegała ul. Ursynowska). Domek otoczony ogródkiem z możliwością wydostania się na drugą stronę w przypadku zagrożenia od ulicy. Urządzenie wnętrza i wygląd gospodarzy stwarzały atmosferę szlacheckiego dworku. Lecz, co najważniejsze, wyczuwało się tu serce dla całej sprawy, ciche, czułe staranie w przygotowaniu łóżka i wszystkiego, co mogło być potrzebne. Bez wahania ponoszone ogromne ryzyko, poświęcenie własnej ciszy i własnego bezpieczeństwa. Zespół sanitariatu został skompletowany. Stanowili go: pierwszorzędnym chirurg dr Andrzej Trojanowski, znana instrumentariuszka ze Szpitala Urazowego, dwukrotnie odznaczona Krzyżem Walecznych w kampanii wrześniowej — Zofia Trojanowska „Tamara” i łączniczka Komendy Chorągwi, Maria Broniewska „Elżbieta”. Zo-

stały też zapewnione potrzebne narzędzia lekarskie, środki opatrunkowe i lekarstwa.

W ten sposób oba braki, jakie niepokoiły poprzednio, w przygotowaniach do nadchodzącej akcji zostały usunięte.

Poza wszystkim musiała w oddziale odbywać się normalna praca. Życie szło naprzód. Na aresztowaniu „Rudego” nie kończyła się wojna. Więc, choć z ciężkim sercem, nie dopuszczono do zahamowania normalnego rytmu. Trwały wszystkie prace organizacyjne i szkoleniowe. W czwartek, jak zwykle, odbyła się prowadzona przez „Orszę” odprawa Komendy Chorągwi; wziął w niej udział „Zośka”. Najciężej było wyznaczyć następcę na opróżnioną przez „Rudego” funkcję. Pełniącym obowiązki hufcowego mianowano „Alka”. Pełniącym obowiązki, a więc z nadzieją, że „Rudy” powróci na to miejsce.

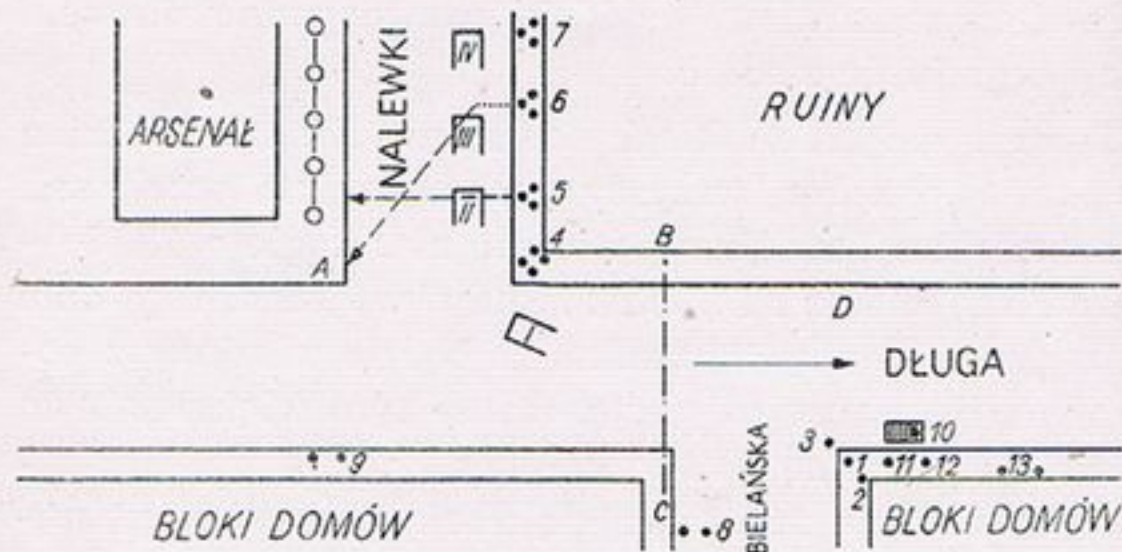
Tak nadszedł piątek 26 marca. Początek dnia nie wróżył żadnych zmian. Zanosilo się na to, że będzie to następny dzień wyczekiwania i pustki. Przyszła tylko jedna wiadomość, niezmiernej zresztą wagi. Major Kiwerski wracał po południu do Warszawy. Nie znał zupełnie sprawy. Na godzinę szesnastą umówiono spotkanie z Florianem Marciniakiem i „Orszą”. Rozmówcy mieli go wówczas poinformować o sytuacji i domagać się pozytywnej decyzji. Spotkanie wyznaczono na placu Trzech Krzyży, obok Instytutu Głuchoniemych. Można było liczyć, że godzina szesnasta stwarza jeszcze dostateczną rezerwę czasową na wypadek, gdyby informacja

z Pawiaka zaalarmowała oddział prawdopodobieństwem akcji o godzinie siedemnastej.

Tymczasem dzień biegł normalnie. Minęła godzina dwunasta, o której wszyscy z napięciem oczekiwali wiadomości z Pawiaka — i ciągle nic. Nagle o 13.45 — alarm. Informacja od „Loli”: „Rudy” wyjechał tego dnia na badania. A więc są szanse, że będzie wieziony z powrotem. Są szanse na akcję, szanse tym większe, że to właśnie w godzinę po spotkaniu z Kiwerskim. Nareszcie. Podniecenie zbliżającą się akcją pozwoliło spokojniej przyjąć do wiadomości ciężki stan katowanego kolegi. Jeszcze trochę. Jeszcze parę godzin.

Natychmiast „Wesoły” dostał polecenie pójścia na Szucha i sygnalizowania, czy „Rudy” będzie w powrotnym transporcie. Natychmiast wydano rozkazy bojowe dla oddziału i jego poszczególnych części składowych — dla sygnalizacji, samochodu, sanitariatu, magazynów. Początek akcji przewidywano na kilka minut po godzinie siedemnastej. Czasu było znów mało. Rozkaz dla oddziału według poakcyjnego raportu „Orszy” brzmiał:

Zadanie: Przyboczny czuwa nad „ubezpieczeniem”; dowódca „atak” na sygnał przybiega do sekcji „butelki” i kieruje bezpośrednio działaniem sekcji „butelki”, „sten I”, „sten II” i „granaty”, z zadaniem przesuwania się do przodu, gdyby pierwszym z kolei sekcjom nie udało się wozu zatrzymać; sekcja „butelki” ma rzucić butelki w szybę szoferki, gdy auto znajdzie się w pozycji „I”; następnie, gdy auto przesunie się do pozycji „II”, likwidować bronią krótką siedzących z tyłu Niem-



- | | | |
|---------------------|-------------------------|-----------------------------------|
| 1 Dowódca | 5 Sekcja „Sten I” | 9 Sekcja „Ubezpie. Ghetto” |
| 2 Przyboczny | 6 Sekcja „Sten II” | 10 Szofer |
| 3 D-ca grupy „Atak” | 7 Sekcja „Granaty” | 11 Rezerwa |
| 4 Sekcja „Butelki” | 8 Sekcja „Sygnalizacja” | 12 Ubezpieczenie wozu |
| | | 13 Sekcja „Ubezpie. Stare Miasto” |

ców, po zlikwidowaniu przejść na róg „A” jako rezerwa ubezpieczeniowa. Gdyby auto nie zatrzymało się w pozycji „II”, sekcja „butelki” przechodzi w skład „ubezpieczenia” od razu, lecz na rogu „B”. Sekcja „sten I” bije po szybie szoferki pod kątem 80°, następnie wręcz likwiduje załogę szoferki, jeśli auto się zatrzyma. Jeśli przechodzi do pozycji „III”, sekcja likwiduje siedzących z tyłu. Sekcja „sten II” — analogiczne zadanie do sekcji „sten I” przy pozycjach „III” i „IV”, z tą różnicą, że sten bije pod kątem maximum 45° (po wybiegnięciu na jezdnię). Sekcja „granaty” rzuca granaty, gdy wóz wchodzi w pozycję „IV”, następnie wręcz likwiduje szoferkę, po czym staje się ubezpieczeniem „Nalewki” (ma być jak najszybciej zluzowana przez inne sekcje „ataku” — zadanie d-cy ataku).

W razie niewejścia w akcję sekcja jest ubezpieczeniem „Nalewki”. Sekcja „sygnalizacja” gwizdże, gdy wóz ukaże się przed Bankiem Polskim, następnie cofa się i stanowi ubezpieczenie „Plac Teatralny”. Wszystkie sekcje „ubezpieczenia” mają zadanie likwidować natchmiast wszystkich mundurowych Niemców oraz likwidować sięgających po broń granatowych i cywilów. Szofer z ubezpieczającym samochód ma zadanie podjechać tyłem do wozu i przejąć rannych. Na trzy gwizdki odwrót wszystkich na linię „BC”, steny przed linią, za nimi d-ca, potem reszta oddziału. Odplyw za autem w kierunku Stare Miasto. Przy pierwszej poprzecznej — rozkaz: „chować broń”, rozładowanie w lokalu X. W czasie akcji jeden gwizdek — uwaga na znaki d-cy. Instrukcja specjalna: nie brać żadnych papierów, strzelać mało a celnie⁷.

Florian Marciniak i „Orsza” przyszli na spotkanie pod Instytut Głuchoniemych punktualnie o godzinie 16.00. „Orszy” towarzyszył „Giewont”. Majora Kiwerskiego jeszcze nie było. Po paru minutach czekający zaczęli się niepokoić; w konspiracji obowiązywała punktualność, gdyż długie wyczekiwanie było zbyt ryzykowne, a ponadto Kiwerski specjalnie przestrzegał punktualności. W miarę jak wskazówka znanego warszawiakom zegara przesuwiała się swoim niczym niezmaconym, bezwzględny rytmem — niepokój czekających wzrastał. Spoglądali coraz częściej na zegar, nie-

⁷ Muzeum Historyczne m.st. Warszawy.

raz dwukrotnie chwytając to samo położenie wskazówek. Gdy nadeszła 16.30 prawdopodobieństwo przybycia Kiwerskiego zaczęło się zmniejszać. Powracała fala napięcia i walki wewnętrznej o decyzję. A czas biegł. Ustalono, że granicą oczekiwania jest 16.45. Wówczas „Orsza” i „Giewont” muszą odjechać pod Arsenał. Zostanie Florian i bez względu na to, czy się doczeka, czy nie — wyda decyzję. Jaką? Jeszcze nie mówił, nadal liczył na uzyskanie decyzji od Kiwerskiego. Do 16.45 — nic. Czas nadszedł. „Orsza” i „Giewont” wsiadają do rykszy. Mają jechać do sklepu „Giewonta” na ulicę Świętokrzyską. Tam wezmą broń i będą czekać na telefon Marciniaka.

Można sobie wyobrazić, jak trudne były dla Floriana Marciniaka następne minuty. Coraz mniej mógł liczyć na przybycie Kiwerskiego. Coraz ostrzej, bezwzględniej rysowała się konieczność podjęcia własnej decyzji. I nagle pojawia się znana, sympatyczna sylwetka Kiwerskiego. Dziś, gdy obaj rozmówcy nie żyją, można tylko na podstawie wspomnień o nich odtworzyć sobie przebieg rozmowy. Chodziło już o sekundy. Decyzja zapadła podczas łączenia się telefonicznego w pobliskiej aptece. Argumentem Floriana było zapewne spojrzenie i mocny uścisk dłoni. Odpowiedzią Kiwerskiego był jeden wyraz: „Trzaskać”.

W tubę telefonu Florian powiedział spokojnie: „Decyduję, byście załatwili tę transakcję”. Gdy „Orsza” i „Giewont” wpadli do sklepu na Świętokrzyskiej, wspólnik „Giewonta”, dyskretny acz domyślający się wiele, Antoni Pauker przekazał otrzymaną wiadomość.

Nie czas na refleksje. Biegiem do kawalerki na Szkolną. Wydobyć czterech lebeli ze skrytki podłogowej. Biegiem do rykszy, których sporo tu stało, i pod Arse-
nał. Mijają ulice, ruch normalny, ludzie wracają z pra-
cy. Dochodzi godzina siedemnasta. Florian i Kiwerski
pośpiesznie udają się w pobliże akcji, by na stopniach
Banku Polskiego liczyć za chwilę liczbę strzałów, wsłu-
chiwać się w gwizdki dowódcy, śledzić bieg wskazówki
sekundnika.

„Orsza” i „Giewont” wysiadają z rykszy. Za chwilę
są już na rogu Bielańskiej i Długiej, na stanowisku do-
wodzenia. Zastają „Zośkę”. „Robimy. — Co? nie cieszy-
cie się?” — rzuca „Orsza”. *W tym momencie nie po-
trafię się już cieszyć*⁸ — zanotuje później w swym pa-
miętniku „Zośka”. Cały oddział jest na miejscu. Jest
także samochód ewakuacyjny; z jakichś powodów przy-
jechał dopiero przed chwilą, opóźnieniem swym szar-
piąc napięte nerwy „Zośki”. Wszyscy zajęli stanowiska.
Szumnie to brzmi i jest w tym określeniu jakiś wojsko-
wy snobizm, a może marzenie o wyjściu z konspiracji,
o mundurze... W praktyce są grupki rozmawiających
ludzi. Ktoś czyta gazetę, ktoś uparcie wiąże sznuro-
wado.

Skrzyżowanie Bielańskiej i Długiej przedstawiało
w tym momencie zwykły dla popołudnia powszedniego
dnia i zwykły dla tej dzielnicy obraz. W pamięci ucze-
stników pozostało wrażenie zwykłości — parę stoją-
cych dorożek, jakiś wóz ciężarowy, kilka dwukołowych

⁸ Archiwum im. Floriana Marciniaka.

wózków, sporo przechodniów wracających o tej porze z pracy. Tę codzienność najtrudniej może zapamiętać i najtrudniej opisać, tym bardziej że uwagę przykuwało zupełnie co innego. Charakterystyczne, że kiedy w parę dni po akcji „Orsza” udał się wraz z majorem Kiwerskim do lokalu „BIP-u” — Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK, by dla prasy podziemnej złożyć sprawozdanie z przebiegu wypadków, i gdy jeden z dziennikarzy zapytał go — jaka w momencie akcji była pogoda — „Orsza” zrobił zakłopotaną minę. Tego nie zauważył. Deszcz chyba nie padał i chyba nie było gorąco. Ot, pewno zwykły, szary, marcowy dzień. Ulica okazała się dostatecznie ruchliwa, by dwudziestu ośmiu rozproszonych ludzi nie zaważyło na jej wyglądzie. Sylwetki bojowców, ich ruchy i ubiór były zharmonizowane z tłem. Efekt ten osiągnięto przede wszystkim dzięki intuicji i spostrzegawczości poszczególnych uczestników. Dopiero później oddział nauczył się szeregu teoretycznych zasad zwracania uwagi na swój wygląd. Na przykład przyzwyczajono się na nocną akcję zabierać przybory do golenia, szczotki do butów i ubrania, aby rano nie różnić się od innych przechodniów.

Mijały minuty. Na Mokotowie dr Trojanowski przechadzał się wraz z „Tamarą” i „Elżbietą” wzdłuż ulicy Ursynowskiej. Sanitariat trwał na swoim stanowisku.

W knajpce przy ulicy Długiej, tuż koło skrzyżowania z Bielańską, siedział przy stoliku nad szklanką lemoniady „Jur”. Podał już swój numer rozmówcy czekają-

cemu na „Wesołego”; zawiadomił barmana, że spodziewa się zaraz pilnego telefonu. Z walącym sercem wpatrywał się teraz w martwy czarny przedmiot, wsłuchiwał w restauracyjny gwar, by wśród tych dźwięków wyłowić natychmiast pierwszy ton telefonicznego sygnału. Przed chwilą „Jur” miał zatarg z kimś, kto sięgnął po telefon.

Równocześnie z nim stanąłem przy aparacie — wspomina „Jur”. — Chwileczkę... — Cofnął rękę od słuchawki. — Proszę pana, ja czekam na bardzo pilny telefon, każda minuta może być dla mnie ogromną stratą. Może pan poczeka chwilkę... — Nieznacznie rozpinam kurtkę. Trochę zaczerwienione, lecz przytomne oczy patrzą na mnie z ogromnym zdziwieniem, trochę z gniewem. Serce wali mi jak młotem. Twarz pali ogniem. — Ależ proszę pana, co mnie to obchodzi, ja muszę też zadzwonić. — Nie zadzwoni pan — wyrzuciłem z siebie. Głos stał się chrapliwy. Pod połą kurtki ścisnąłem mocno kolbę. Na sali nagle się uciszyło. Czulem, że wszyscy patrzą na tę dziwną scysję. Nie odwracałem głowy, czujnie patrząc w oczy przeciwnika. Cofnął się pół kroku. — Nie, to ja już poczekam — bąknął niepewnie...⁹

Teraz „Jur” siedział w napięciu nad szklanką lemoniady.

W alei Szucha „Wesoły” starał się tak krążyć, aby

⁹ Stanisław Broniewski, *Pod Arsenalem*, Warszawa 1957, s. 77.

w krytycznym momencie widzieć i jednocześnie być blisko wyjścia.

Tylko „Lola” była już w tej chwili po wykonaniu swego ważnego zadania.

Wreszcie skończył się ponury dzień przesłuchań. Drzwi referatów pootwierają się, w hallu gestapowcy grupowali więźniów do transportu. Wśród nich nosze z „Rudym”.

„Wesoły” jeszcze upewnił się, że transport zostanie wysłany, że nosze ładują do ciężarówki. Teraz jego zadanie — to jak najprędzej przekazać wiadomość. „Wesołemu” wydało się, że czas biegnie bardzo szybko, że może nie zdążyć dojść do cukierni Domańskiego. Prosi więc znajomego gestapowca o możliwość połączenia się z jego telefonu. Wykręca numer...

W knajpie na Długiej sygnał. „Jur” rzuca się do słuchawki. Nad głową spokojnie urzędującego gestapowca „Wesoły” opanowanym głosem przekazuje informację. Brzmiała ona jako zachęta do kupna „...ponieważ towar okazał się dobry”... „Jur” zrozumiał. Koniec rozmowy. „Wesoły” jest już wolny. Wykonał swoje zadanie. Spokojnie opuszcza gmach na Szucha; myślą jest pod Arsenalem.

„Jur” wypada z knajpki.

Potężny haust świeżego powietrza — napisze po latach „Jur” — „Zośka” i jego towarzysze dostrzegli mnie. Momentalnie skręcili na moje spotkanie. Mijam szybko nasz samochód czekający na gazie. Obaj podszli do mnie. — Pięć minut temu wyjechała więźniarka

z Jankiem Bytnarem. Przez ułamek sekundy spojrzeli sobie w oczy. Widziałem, jak „Zośka” uśmiechnął się. Lecz natychmiast rysy mu stężały. Na stanowiska...¹⁰ Teraz „Jur” zrozumiał, że wykonał swoje zadanie.

Ale mimo że stało się już tak wiele, w ogólnym wyglądzie ulicy nie zmieniło się nic. Wyczekiwanie trwało. Jest już dwadzieścia minut po godzinie siedemnastej. Trudno dziś przypomnieć sobie dokładny czas nadejścia wiadomości od „Jura”. W tej dwudziestej minucie wydawało się, że było to już bardzo dawno. Od tego sygnału myśl bez przerwy przebiegała trasę samochodu-więźniarki. Towarzyszyła mu na każdym metrze. Wybiegała naprzód, rozszalała w oczekiwaniu, by znów chłodem kalkulacji zostać zawróconą i biec normalnie równym tempem kół zbliżającego się do swego przeznaczenia auta.

A wewnątrz auta... *Ruszamy* — opowie po latach Henryk Ostrowski „Heniek”. — *Prawie z miejsca wśród więźniów zaczyna się ostrożny, wydawałoby się niedostrzegalny, lecz bardzo dokładnie przemyślany ruch. Kilka osób chce wykorzystać sytuację i porozumieć się w drodze dyskretnie — wiele to może pomóc w dalszych badaniach. Jakiś w średnim wieku o energicznym i zdecydowanym wyrazie twarzy mężczyzna stara się zająć miejsce jak najbliżej tyłu samochodu — widać w nim gotowość wykorzystania najmniejszej okazji, jaka mogłaby się nadarzyć w drodze. Jakaś mło-*

¹⁰ Tamże.

dziutka, 14—15-letnia dziewczyna oczami zalanymi od łez z przerażeniem, półprzytomnie patrzy przed siebie. Wie, że życie jej dobiega końca. Parę godzin temu, gdy wracała ze szkoły, złapano ją i zidentyfikowano jako Żydówkę. Każdy bardziej raptowny ruch wozu wywołuje z różnych stron nagie jęki. To ci, którzy przechodzą obecnie badania. Zmaltretowani, zbici wracają na Pawiak, by — być może — znów jutro jechać tą samą drogą na następne badania w alei Szucha. Na jedynych w aucie noszach leży „Rudy”, najbardziej fizycznie zmaltretowany, lecz o spokojnym i skupionym wyrazie twarzy. Usiłuję za wszelką cenę przesunąć się do niego. Przy pierwszej próbie porozumienia się mimowolny jęk na skutek dotkliwego bólu w zbitym ciele zwraca uwagę SS-mana. Muszę odczekać. Po chwili SS-mani wdają się w rozmowę. Przesuwam się nieznacznie do „Rudego”. Ledwie dostrzegalnym szeptem udzielamy sobie informacji. SS-manowi nie podoba się jednak, gdy dwóch zmaltretowanych więźniów styka się razem. Wie, co to znaczy. Brutalnym kopnięciem odsuwa mnie na bok. Szukamy więc innej drogi. Ruchem tylko warg i wyrazem oczu też można się porozumieć...¹¹

Inny więzień Leonard Bura, wielkopolski harcerz, dziwnym zbiegiem okoliczności wtłoczony do tegoż auta, tak wspomina:

¹¹ Henryk Ostrowski, Odbicie, „Wiadomości Wigierskie”, nr 2/24 III z 1961 r. powielacz.

(...) mijam te same znajome ulice, znów żal ogromny za utraconą najprawdopodobniej na zawsze wolnością kłuje boleśnie świadomość. Na chodnikach dostrzec jeszcze można ludzi zachowujących się względnie swobodnie, a jednocześnie umysł przenika nieodparte przeświadczenie bliskiego kresu ziemskiej drogi, jakie towarzyszy skazańcowi bez prawa do apelacji czy łaski. Ta beznadziejność wywołuje jednak przyptyw nowej fali energii. Korzystając z tego, że siedzę oparty plecami o tylną ścianę szoferki i to w narożniku, wsuwam niepostrzeżenie lewą rękę między plandekę, a zewnętrzną ścianę samochodowej platformy. Łapię linkę opasującą i przytwierdzającą płachtę do pudła. Szarpię ją chwilę bez skutku. Gdyby mieć jakieś ostrze, istniałaby szansa przecięcia linki, odchylenia płachty i nagły wyskok na ulicę. Gorączkowo myślę, jak sobie poradzić. Śmiertelny upadek z pędzącego auta, lub zainkasowana w ucieczce kula, stanowi jednak tylko marzenie. Wreszcie przypominam sobie o luźnej, startej blaszce przy prawym obcasie obuwia. Kalecząc palce staram się ją wyrwać. Czas ucieka, szansa próby ucieczki też. Samochód minął już plac Teatralny. Wjeżdża w Biełańską. Jeszcze dwie, może trzy minuty i miniemy mury getta, wewnątrz którego usytuowany jest Pawiak. Wreszcie oderwaną blaszką staram się przeciąć linkę. Idzie to opornie. Linka odskakuje. Ostrze jest zbyt tępe, zbyt krótkie i trudne do utrzymania w podskakującym na jezdni samochodzie. Siedzący po mej

prawej stronie więzień zorientował się w mych zamiarach. Trąca mnie ręką, przynagla. W pewnej chwili wóz podskoczył na wyboju, linka odsunęła się, zahaczyła o wysuniętą górną krawędź blaszki, wytrącając ją z palców. Ostatnia i być może niepowtarzalna szansa przepadła. Gorycz zawodu odbiera siły. Wyciągam rękę zza ściany i pokazuję współtowarzyszowi pustą, pokaleczoną dłoń. Patrzy na mnie z wyrzutem...¹²

Tymczasem pod Arsenalem uwagę bojowców przykuła grupka pięciu obcych, młodych mężczyzn, dowcipkujących i wyraźnie na coś czekających. W pewnym momencie zatrzymał się przy nich przechodzący właśnie granatowy policjant i zagadał jak do starych znajomych. Wyglądało to co najmniej dziwnie. Tym bardziej że jeszcze dwóch mężczyzn dostało się w pole widzenia bojowców: jeden z nich przechadzał się koło przeznaczonego do ewakuacji auta, drugi stał uparcie nie opodal dowódcy. Później sprawa wyjaśniła się. Wówczas jednak zaczęto obawiać się, że jakieś wiadomości zostały przechwycone przez nieprzyjaciela i na placu jest grupka agentów gestapo. Potem, gdy padły pierwsze strzały, tajemnicza grupa rozbiegła się z przerażeniem. Okazało się, że byli to czekający na przeprowadzkę pracownicy przedsiębiorstwa przewozowego. Nim się to wyjaśniło, dowódca akcji zarządził jednak przegrupowanie i tak już skromnego „ubez-

¹² Relacja w posiadaniu autora.

pieczenia”, by bardziej wyrównać siły w walce z domniemanymi agentami.

Mija następne dziesięć minut. Obrazy na placu zmieniają się teraz szybko, mimo że oczy chciałyby zatrzymać je, by żyć się z sytuacją, jaka będzie w momencie pierwszego strzału. Przechodzą spore grupy granatowych policjantów, kończących właśnie o tej godzinie służbę u bram getta. Raz przejeżdża przez skrzyżowanie motocykl z patrolem niemieckiej Schutzpolizei. Ponadto już drugi raz wolnym krokiem przechodzi granatowy. To wszystko nie powoduje już zderzenia. Najważniejsze, jaka sytuacja będzie na początku. Lecz ten początek ciągle jeszcze nie nadchodzi. Wracający ze służby policjanci znikają. Patrol niemiecki przejeżdża. Znow zbliża się granatowy, dokonujący widocznie swego obchodu. Dochodzi właśnie do rogu naprzeciw arkad Arsenалу...

Od chwili odebrania przez „Jura” telefonu i przekazania przezeń informacji dowódcy, ciężar największej odpowiedzialności przesunął się na dwóch pozostałych członków sekcji „sygnalizacja”, na „Kubę” i „Kadłubka”.

„Kadłubek” stoi na skraju chodnika ulicy Bielańskiej koło Banku Polskiego. Zna wygląd samochodu, jego numer — 72076. Ma przeczekać, aż samochód go minie i dopiero wówczas, po sprawdzeniu wszystkiego i ostatecznym upewnieniu się, dać sygnał. Ten sygnał to głęboki, wyraźny ukłon kapeluszem.

Sygnał ma powtórzyć „Kuba”, stojący po drugiej stronie ulicy Bielańskiej przy rogu ulicy Tłomackie,

a więc tam, gdzie Bielańska lekko zakręca. „Kuba” widoczny jest ze stanowiska dowodzenia. „Giewont” nie odrywa od niego wzroku. Sam „Kuba” dobrze widzi „Kadłubka”, „Kadłubek” wpatruje się w stronę placu Teatralnego.

Wyczuwam nieco przyspieszony rytm serca. Czy się uda? I jaki będzie przebieg wydarzeń?... Przez myśl przebiegają mi szybko sceny podawane przez wyobraźnię, że zasygnalizowałem niewłaściwy samochód. I dalej następstwa tej pomyłki. Skupiam uwagę na obserwowanym odcinku Bielańskiej i widocznym fragmencie placu Teatralnego. Natrętne myśli wracają. A jeśli nie dam na czas sygnału lub nie rozpoznam samochodu? Zaskoczeni koledzy nie przygotowują się na czas...¹³ — podzieli się po latach swymi przeżyciami „Kadłubek”.

Już wiele minut temu informację od „Jura” przekazano „Kadłubkowi” i „Kubie”, wzmagając ich czujność, stawiając ich w stan gotowości. Wpatrzony w „Kubę” „Giewont” jest zirytowany tym, że „Kuba” stoi plecami do ulicy patrząc na wystawę. Po chwili wyjaśnia się, że to tylko fortel „Kuby”: wystawa służy mu za lustro, w którym świetnie obserwuje sytuację. To wyjaśnienie nie może już jednak rozładować napięcia narastającego teraz z każdą minutą na linii: „Kadłubek” — „Kuba” — „Giewont” — „Orsza” — „Zośka” — „Anoda”, dowódca sekcji „butelki”. Zbyt wiele minut

¹³ Stanisław Broniewski, *Pod Arsenalem*, s. 80.

upłynęło już od sygnału „Jura”. Więc to zaraz...
W ostatniej chwili wpada biegnący z pracy Feliks
Pendelski „Felek”, odbiera broń tymczasowo go za-
stępującemu Kazimierzowi Łodzińskiemu „Kapsiutowi”
i podąża na swoje stanowisko.

WALKA



„Kadłubek” będzie pamiętał to do końca życia: (...) pojawia się ...samochód ciężarowy ze ściętą płaską maską szoferki. Jedzie bardzo szybko. Serce skoczyło silnie. W szoferce Niemcy. Już mnie mijają. Rzut oka na tył wozu. To ten. Widzę wyraźnie Niemców... kobiety. Decyzja. Już...”¹⁴

„Kadłubek” składa głęboki ukłon. „Kuba” nie tyle uklonił się czapką, co zamachał nią energicznie. I on poznał więzienny samochód. Jeszcze przed tygodniem sam jechał tym renaultem, a dziś dyskontuje zawartą z nim znajomość, wskazując go kolegom jako cel butelek, pistoletów i granatów.

Jest punktualnie godz. 17.30. Ze skrzyżowania na rogu rozlega się gwizdek „Orszy”. Niemcy go nie słyszą. Znajdują się kilkadziesiąt metrów od skrzyżowania, są ponadto zamknięci w aucie. Zbliżają się. Oddział napręży uwagę. Dłonie obejmują w kieszeniach, teczkach, pod połami płaszczy kolby pistoletów, szyjki butelek, granaty. Granatowy policjant dochodzi właśnie do rogu naprzeciw arkad Arsenалу. Znajduje się w miejscu, z którego mają za parę sekund uderzyć „butelki”. „Zośka” szybkim krokiem podchodzi do granatowego. Zgodnie z planem akcji miał w tej chwili przejść jezdnię i znaleźć się przy „butelkach”. Lecz granatowy z bronią w samym centrum naszego ataku to najgroźniejszy punkt. Wystarczający powód, by tam znalazł się „Zośka”; takim był zawsze, gdy działał, gdy dowo-

¹⁴ Stanisław Broniewski, *Pod Arsenalem*, s. 81.

dził; takim był zwłaszcza w chwilach trudnych. Granatowy policjant zdumionymi oczami widzi wydobywane pistolety, butelki... Sam sięga po broń. Lecz „Zośka” jest szybszy. Strzela. Policjant pada, lecz mierzy jeszcze ze swojej broni. To już jednak nieważne. Bo oto na skrzyżowanie wpada więźniarka. Szofer więźniarki wykonał już skręt w lewo i teraz, przekręcając kierownicę w prawo, aby przejechać po krzywiźnie w kształcie litery „S” i zniknąć w ulicy Nalewki, spostrzega czy też słyszy incydent. Szarpie więc kierownicą w przeciwną, lewą stronę. Był to już ostatni odruch. Na maskę wozu celnie padają cztery butelki. To „Anoda” uderza ze swoją sekcją. Uderza w samą porę. Nie tylko zgodnie z planem akcji, ale i zgodnie z nowo wytworzoną sytuacją. Samochód nie zdołał uciec, choć to niebezpieczeństwo, niedostatecznie dostrzeżone przy planowaniu akcji, zawisło przez chwilę nad oddziałem. Szofer osuwa się na kierownicę. Siedzący obok niego dwaj gestapowcy otwierają drzwi i wypadają na jezdnię. Pałają się na nich mundury, ogień ogarnia motor i szoferkę. Silnik staje. Lecz wóz wolno toczy się naprzód w ulicę Długą w kierunku ulicy Przejazd. Toczy się po krzywiźnie, jaką przesądził ostatni ruch szofera. Jezdnia pochylona wówczas w tamtą stronę (inaczej niż dziś) umożliwia posuwanie się wozu. Sekcje „ataku” widzą już tył więziennej budy, a w niej na skraju po dwóch bokach tylnej ławeczki dwie postacie gestapowców. To są już ostatni z konwoju. Ale pierwszy moment zaskoczenia i oszołomienia minął.

Widać, jak dobywają pistoletów i zaczynają strzelać. Musiał to być wzorowo wytresowany zespół, gdyż strzelają z opanowaniem, szybko, lecz nie na oślep. Mierzą. Nawet zmieniają magazynki. Dobre wyszkolenie konwoju widać również z zachowania się tych dwóch, co w płonących mundurach wypadli na jezdnię. Trudno zapomnieć szczególnie jednego z nich. Mundur na jego plecach płonął wysokim słupem ognia, on natomiast próbował się podnieść. Ręka przez cały czas gmerała koło kabury, chcąc wydobyć pistolet. Wreszcie zmiotła go i jego towarzysza seria z naszego peemu. To sekcja „*sten I*” przebiegła przez jezdnię i razem z sekcją „*butelki*” ukryta pod filarami Arsenалу zaczyna ostrzeliwać Niemców. W czasie przebiegania pada raniony w brzuch „Buzdygan”. Strzelał do niego ranny granatowy policjant. Zachowywał się dziwnie. Trudno użyć innego określenia niż — dziwnie. Najpierw na wezwanie „*Zośki*” nie oddał broni. Nie oddał, mimo iż powiedziano mu, z kim ma do czynienia: z Polskimi Siłami Zbrojnymi. Ten moment można by wytłumaczyć. Działał w zaskoczeniu, oszołomieniu. Lecz potem, gdy leżał ranny, a żył tylko na skutek zacięcia się obu pistoletów „*Zośki*”, ciągle strzelał. Jeden z jego strzałów ranił śmiertelnie przebiegającego do natarcia bardzo blisko „Buzdygana”. Gdy ktoś inny chce mu zabrać broń, policjant chowa ją pod siebie i błaga, by ją zostawić, gdyż za jej utratę odpowie przed niemiecką policją i strzela za chwilę bezskutecznie w kierunku stanowiska dowódcy. Sienkiewiczowski „*Bartek Zwy-*

ciężca". Znów z pruską bronią i pod pruską komendą. Na koniec któryś z atakujących raz jeszcze strzela do policjanta i przerywa tę tragiczną służbę.

Opowiadanie wydarzeń trwa dłużej niż ich przebieg w rzeczywistości. W rzeczywistości więźniarka toczy się jeszcze. Sekcja „sten I” zgrupowała się właśnie pod arkadami. „Słoń” chce strzelać do płonących Niemców, lecz na razie gorączkowo szarpie się ze stenem, „Zośka” jest przy nim — jednym ruchem odbezpiecza nieszczęsnego stena i „Słoń” posyła serię.

Początkowe zamieszanie zamieniło się w sytuację bardziej przejrzystą: są dwaj gestapowcy strzelający z uparcie acz coraz wolniej toczącego się wozu i jest zgrupowana większość „ataku” pod filarami Arsenału. Strzały gestapowców są celne. „Anoda” stwierdzi później draśnięcie szyi, przestrzelenie spodni, rękawa i wgniecenie portfela na piersi. Te strzały gestapowców przytrzymują „atak” pod filarami. Następuje kryzys walki. Pochyłość jezdni odsuwa toczący się bezwładnie samochód z polskich rąk. Szanse polskie z każdą chwilą topnieją: po pierwsze — przez oddalanie się samochodu, po drugie — przez sam fakt upływu czasu od pierwszych strzałów. Logicznie wydawało się, że już piętnasta minuta akcji jest potwornym ryzykiem. W praktyce natomiast ciężarówka z niemiecką policją przybyły na miejsce dopiero w dziesięć minut po rozejściu się bojowców. Kryzys trwał. Wprawdzie w takiej akcji trwanie to sekundy...

Jak przeżywali te chwile więźniowie? Pan Władysław Wyssogota-Zakrzewski notuje:

Strażnicy zaczęli tę tyralierę ostrzeliwać, celując spokojnie i z opanowaniem. Ponieważ ogień pistoletów maszynowych (...) trwał, kosząc na wysokości dachu kabiny, przykucnęliśmy wszyscy. Kobiety były zbyt słabe, by strzelających strażników wypchnąć z wozu. Wobec tego zawołałem do mężczyzn: Naprzód. Wypchnąć Niemców. — Przy tym podniosłem się nieostrożnie i natychmiast kula z walących ciągle pistoletów przeszła mi ramię. Przysiadłem znowu...¹⁵

„Ubezpieczenie” miało też w tym czasie robotę. Najwięcej może skrajna sekcja „ataku” — dowodzona przez „Alka” sekcja „granaty”. Sekcja nie weszła do walki w ramach „ataku”. Nie weszła, bo już „butelki” wykonały główne zadanie: zatrzymanie więźniarki. Zgodnie z planem „granaty” stały się „ubezpieczeniem”. I od razu wyrosło zadanie nowe. Ulicą Nalewki szedł oficer SS w towarzystwie kobiety. Na odgłos strzałów oficer sięgnął po broń. Lecz „Alek” czuwał. Podbiegł natychmiast i celnym strzałem zwałił Niemca z nóg. Również od strony Nalewek pojawił się jeszcze jeden granatowy policjant w stopniu przodownika. Ten nie chciał się do niczego mieszać. Spod filarów Arsenалу dawał o tym znać ruchami rąk. Lecz poniósł konsekwencje zachowania się swego kolegi. Za wiele zaszkodził akcji granatowy mundur, aby teraz bojowcy mogli bez obawy wypuścić go swobodnie. Przodownik pada raniony.

¹⁵ *Uwolniony pod Arsenalem*, „Stolica” nr 20(1171) z 17 V 1970 r.

Miało też robotę „ubezpieczenie” — „Stare Miasto”. Tu po jednej stronie ulicy Długiej ustawił się „Katoda”, a po drugiej „Kopeć” i „Rawicz”. Tuż przed rozpoczęciem akcji przeżyli chwile napięcia. Wspomina o tym „Katoda”:

(...) od strony ulicy Miodowej nadjechał wolno motocyklowy patrol policji niemieckiej, składający się z trzech dobrze uzbrojonych ludzi. Zamartłem. Co robić? Puścić ich, czy strzelać? Puścić — to w przypadku nadjechania więźniarki — „położyć” akcję, gdyż w miejscu uderzenia Niemcy będą silniejsi. Zatrzymać — to znaczy przed czasem ujawnić się i, być może, „spalić” akcję bez wykonania zadania. Patrol jedzie wolniutko tuż przy samym krawężniku, uważnie przyglądając się ludziom. Ja stoję również przy krawężniku i trzymam ręce w kieszeniach na kolbach rewolwerów. Niemcy jakoś nikogo nie legitymują, a zbliżając się do mnie dodają trochę gazu i stosunkowo już szybko mijają róg Bielańskiej i Długiej...¹⁶

Na tym jednak nie skończyły się kłopoty „Katody”. W czasie walki doskoczył doń w pewnej chwili jego najbliższy przyjaciel „Anoda” wołając: „Byczo jest. Dawaj swoje pistolety, bo moje puste, a muszę jeszcze wracać”. „Katoda” wahał się, lecz na usilne żądanie zamienił pistolety z przyjacielem. Teraz po wycofaniu się z powrotem na swoje stanowisko usiłował naładować bębny. Ledwo zaczął, gdy spostrzegł po drugiej

¹⁶ Stanisław Broniewski, *Pod Arsenalem*, s. 89.

stronie ulicy grubego Niemca w mundurze SA z wielką swastyką na ramieniu. „Katoda” próbuje strzelać, lecz częściowo pusty bęben musi jeszcze obrócić się parę taktów, zanim nareszcie wypali. Niemiec ma czas i strzela, trafiając w szybę cukierni nad głową „Katomy”. Rzecz kończy „Kopec”. Padają strzały. Gruby Niemiec przewraca się.

A „Kopec” też przeżywał przed chwilą emocje. Oto jego wspomnienie: (...) w odległości około 20 metrów od nas w kierunku Miodowej zatrzymał się ciężarowy samochód Wehrmachtu. W samochodzie, prócz żołnierza-szofera, było jeszcze dwóch żołnierzy niemieckich (...). Wkrótce po pierwszych strzałach, w samochodzie (...) wywiązała się szybka dyskusja z widoczną gestykulacją w naszą stronę, a po chwili samochód ten pełnym gazem ruszył w kierunku Miodowej. Odetchnęliśmy...”

Na odcinku pozostałych ubezpieczeń panował względny spokój.

Moment kryzysu mija. Przełamuje go „Zośka”, porywając za sobą wszystkich do ataku. Jeden z dwóch siedzących z tyłu więźniarki gestapowców nie wytrzymuje nerwowo, zsuwa się na ziemię i chroni za maską samochodu. Jest ranny. Drugi pozostaje bez ruchu w pozycji siedzącej. Za chwilę okaże się, że nie żyje. Auto zostaje zdobyte. Dopadł doń „Kończan”. On otworzył klapę wozu, tak że zabity gestapowiec runął na jezdnię. Tuż za „Kończanem” dopadł więźniarki „Zośka”. Za nim inni.

¹⁷ Tamże, str. 83.

W tym samym momencie przeciągły gwizdek dowódcy zwołuje rozproszony oddział. Jest godzina 17.45. Akcja trwała niepomiernie długo — piętnaście minut. Trzeba kończyć, kończyć co prędzej. Za chwilę będzie tu pełno zaalarmowanej już na pewno policji.

Gdy „Kołczan” sprawnie otwierał klapę ciężarówki, pękł ostatni symbol niemieckiego porządku. Wolność. Więźniowie wyskakują na jezdnię. Ci, co są dalej, tłoczą się ku wyjściu. W głębi nosze z „Rudym”. Nikt ze współwięźniów nie pamięta o nim w tej chwili, więc sam czołga się ku wyjściu po deskach więźniarki, po przewróconych ławkach.

Wśród tych, co już wyskoczyli, jest „Heniek”. Co za szczęśliwy traf. „Heniek” poznaje „Kołczana”, „Zośkę”, „Orszę”. Woła, by mu dać broń. Lecz to niemożliwe. Wraz z innymi uwolnionymi skierowany jest w ulicę Długą, ku Staremu Miastu, na najpewniejszą oś odwrotu. W drugą stronę ulicy Długiej nie można — tam jest brama do getta. Nalewki to też getto, od strony Biełańskiej najprawdopodobniej nadjedzie za chwilę na klaksonach pogotowie rezerwy niemieckiej policji, można więc wycofywać się tylko w kierunku małych uliczek Starego Miasta.

Niezapomniany widok — ta biegnąca na skos przez jezdnię gromadka uwolnionych. Fala radości ogarnia członków oddziału. Cały czas nastawieni byli na uwolnienie „Rudego”. Tylko jego. O innych, przy tej okazji uwolnionych — trzeba się przyznać — nie myśleli dotąd. Teraz ten widok uwolnionych to jakby wielka niespodzianka, wielki prezent od nareszcie ła-

skawego losu... Gromadka uwolnionych biegnie po zupełnie pustej ulicy. Dopiero w tej chwili można spostrzec, jak bardzo zmieniła się sceneria. Wokół jest pusto. Gdy padły pierwsze strzały, wszyscy ludzie na skrzyżowaniu i na przylegających doń ulicach rzucili się do panicznej ucieczki. Woźnica przeprowadzkowego wozu zaciął konia; pierzchli ryksiarze, słychać było tu i ówdzie charakterystyczny odgłos gwałtownie zatrzaskiwanych sklepów. „Kadłubek”, idący szybkim krokiem od strony Banku Polskiego, spostrzegł w pewnym momencie, że *on jeden idzie pod prąd tej panicznej ucieczki (...) chodnikiem do placu Teatralnego pędzi szereg osób przed siebie, na ślepo. Jakieś kobiety, mężczyzna z wilczurem na smyczy, który szczekając ciągnie za sobą swego pana i powiększa panikę...*¹⁸ Ale to nie tylko panika. Skrzyżowanie przeżywa też swoje minuty wolności. „Ale Meksyk. Panie, czy to powstanie? Daj pan broń.” — słyszy „Katoda”. „Brawo chłopaki”, „Lać szkopów” wpada w ucho „Anodzie”. Przechodnie mający pełne kieszenie różnych „kennkart” i „bescheinigungów” zwracają się teraz do polskiego dowódcy z gorączkowym pytaniem: „Gdzie wolno biec? gdzie należy się schronić?” Wydaje się, że okupacyjną ciemność rozdarła błyskawica, że tu, na skrzyżowaniu ulicy Bielańskiej i Długiej w Warszawie pierwszy raz od czterdziestu dwóch miesięcy zabłysła Polska.

¹⁸ Stanisław Broniewski, *Pod Arsenalem*, s. 82.

Jeszcze trwa chwila szczęścia, jakie sprawił widok gromadki uwolnionych, a już słycać radosne, podniecone głosy. — Jest „Rudy”! Jest! — Dekawka wstecznym biegiem podjeżdża do więźniarki. Koledzy ramionami podpierają „Rudego”. W jego szeroko otwartych, dużych, niebieskich oczach jakby cień uśmiechu. Lecz wygląda strasznie. Twarz szarozółta jakby zmalala, skurczyła się. Głowa ogolona do skóry. (Gdzież te wesołe, jasne włosy?...) Pokryty jest sinymi plamami i zakrzepłą krwią. Granatowe ubranie wymięte, poszarpane i jakby wilgotne. A nade wszystko ten skurcz bólu przy każdym ruchu, ten cichy jęk.

Szybko, szybko. „Rudy” już jest w dekawce. Przed chwilą koledzy umieścili już w niej rannego „Buzdygana”. Szybko, szybko. Wielkie, ciemne oczy „Buzdygana” patrzą teraz jakoś dziwnie, jak oczy chorego, skrzywdzonego dziecka. Jest bardzo blady. Przy każdym większym ruchu krzywi się boleśnie. Jak dziecko. Szybko, szybko. Obok kierowcy — „Jeremiego” siada „Zośka”. Dekawka rusza, później dopiero słycać trzaskanie zamykanych drzwiczek. „Zośka” natychmiast zmienia magazynki w pistoletach. Jest gotów do walki, do przełamania każdego oporu. Dekawka pędzi Długą w stronę Starego Miasta.

Teraz odwrót. Ale przedtem jeszcze „Orsza” spostrzeżga kilku kolegów wlokących ranną w nogę kobietę. To jedna z uwolnionych — Maria Szyfers. Jest przytomna, tylko w oczach lęk, by jej tu nie zostawiono. Ubrana jest w suknię wizytową, tak jak ją zaaresztowano. Teraz, w tej scenerii, wygląda to na złośliwy żart losu.

„Orsza” i „Giewont” zatrzymują jadącego właśnie oplą. Kierowca zostaje usunięty z wozu. Za chwilę będzie telefonował do swego pracodawcy, właściciela fabryki wódek „Jankowski”, meldując w podnieceniu: „Panie dyrektorze, powstańcy polscy zabrali mi samochód”. Jak na marzec 1943 roku, to nieźle. Maria Szyfers już jest umieszczona w oplu. Przy kierownicy „Jurek TK”. Odjeżdżają. Jest już bardzo, bardzo późno.

Odwrót. Zgodnie z planem odwrót odbywa się ulicą Długą w stronę Starego Miasta. „Giewont” i „Orsza” wycofują się ostatni. Rzut oka wstecz — na placu nie pozostał już nikt. Wszyscy biegną. Po prawej stronie w załomie muru stoi cywilny Niemiec bez broni z podniesionymi do góry rękami. Trzyma go pod dwoma rewolwerami „Anoda”. — Strzelać? — pyta dobiegającego „Orszę”. Niemiec ma wpiętą swastykę w kłapę; to go zdradziło; inaczej uchodziłby za zwykłego przechodnia. „Orsza” macha ręką — zostaw. — Mimo trzech lat bandyckiego postępowania Niemców trzeba było trzymać na wodzy chęć zemsty i pamiętać, że polskich żołnierzy obowiązuje międzynarodowe prawo, pamiętać, że polski żołnierz nigdy nie zamieni się w żołdaka. Niemiec został żywy. Za parę miesięcy zobaczy go „Orsza” na ulicy, gdzieś w rejonie placu Napoleona.

Wszyscy biegną dalej. Lecz nagle co to? Z przodu strzelanina. To z bramy niemieckiego Urzędu Pracy, osławionego Arbeitsamtu. Wąska ulica zostaje tymi strzałami całkowicie zablokowana. Ostatnia część wycofującego się oddziału odcięta. Na przedzie tej ostatniej

grupy biegnie „Alek”. Widzieliśmy go, jak zlikwidował próbującego interweniować oficera SS. Teraz wraz z innymi zwiniętymi „ubezpieczeniami” biegnie w ostatniej grupie. Nagle padają te przekłete strzały. Strzelają niemieccy urzędnicy Arbeitsamtu. Jak różne są reakcje Niemców. Poprzednio przez teren akcji przejeżdżało osobowe auto, a w nim kilku niemieckich oficerów. Wszyscy dobyli pistolety i w takiej gotowości przejechali. Strach czy niechęć do atakowanego gestapo spowodowały ich postawę? Zapewne po trosze jedno i drugie. W chwilę potem przemknął się przez pole walki niemiecki żołnierz na rowerze. Pamiętamy wreszcie zachowanie się wehrmachtowskiej ciężarówki, którą z niepokojem obserwował „Kopeć”: po prostu odjechała. Natomiast teraz urzędnicy Arbeitsamtu, już po zakończeniu akcji, niczym nie przymuszeni, usiłują występować w obronie niemieckiego ładu. Jeden pocisk trafia „Alka” w brzuch. „Alek” zwija się i pada na jezdnię. Biec dalej nie może. Od bramy będącej dla reszty oddziału przeszkodą, zda się nie do przewyciężenia, dzieli go zaledwie parę kroków. Poczucie obowiązku przewycięża ból fizyczny. „Alek” z wysiłkiem rozprostowuje się i tak z postawy leżącej ciska granat do wnętrza bramy. Huk, dym. Reszta członków oddziału poderwana komendą wpada w ten dym i po chwili wszyscy są za tą, chyba ostatnią, przeszkodą. Cała akcja, pomijając już jej sens istotny, pełna była scen świadczących o wielkiej koleżeńskości i braterstwie spajającym Grupy Szturmowe. Jedna z takich scen

powtórzyła się przed chwilą. Gdy „Alek” odbezpieczał granat, jak spod ziemi wyrósł obok niego Niemiec — cywil, mierząc doń z pistoletu, prawie przykładając lufę do głowy. Wówczas równie niespodziewanie zjawia się „Anoda”, zapóźniony w odwrocie w związku z incydentem z tamtym, terroryzowanym przez siebie i na rozkaz „Orszy” puszczonego wolno cywilem, i bez namysłu, z dwóch trzymany w rękach rewolwerów pakuje pociski w brzuch Niemca. Niemiec pada ciężko na ziemię. „Alek” jest uratowany. Zostaje zatrzymany jeszcze jeden cywilny samochód. Koledzy pomagają „Alkowi” wsiąść i samochód rusza. Szok wśród Niemców wywołany wybuchem granatu pozwolił im odjechać spokojnie.

Lecz starcie pod Arbeitsamtem kosztowało drogo. Nie tylko ranę „Alka”, która, niestety, okazała się śmiertelna. Oto jeden z jego podkomendnych, członek sekcji „granaty”, „Hubert”, oddzielony od reszty, skoczył do bramy, aby naładować swoje puste już bębny. A może chciał przedostać się tą drogą na ulicę Hipoteczną, dom bowiem był przechodni. To co się w niej wydarzyło znamy z późniejszego meldunku wywiadu Komendy Głównej Armii Krajowej: *Jedna z osób biorących udział w uwolnieniu aresztowanych po skończonej akcji uciekła ulicą Długą i wpadła do domu numer 27 przy ulicy Długiej. Na skutek strzałów wybiegł ze swego baru obywatel niemiecki Sommer Edmund, zatrudniony prawdopodobnie w Sonderdienst i zatrzymał owego osobnika, przy którym znalazł dwa pistolety i granat. Zatrzymanym okazał się Lenk Hubert, lat 19,*

syn urzędniczki Dyrekcji Policji Kryminalnej... A pod meldunkiem dopisek: Lenk został aresztowany w momencie, kiedy po wystrzeleniu pistoletów wszedł do bramy i napełniał magazynek pociskami, które miał luzem w kieszeni (...). Wiadomość od Sommera i policjanta, którzy go przytrzymali... A więc był i policjant, a ponadto byli zapewne i inni, gdyż jak tenże meldunek w innym miejscu podaje (...) w barze tym, przy ulicy Długiej, obsługa mówi po polsku i po niemiecku i bar ten ma wolny wstęp dla Niemców. W omawianym barze bywają funkcjonariusze gestapo przeważnie w ubraniach cywilnych oraz schodzą się tam informatorzy gestapo¹⁹. Tak wyglądała pułapka, w którą wpadł „Hubert”. Starcie pod Arbeitsamtem spowodowało, że zniknięcie „Huberta” uszło uwagi pozostałych. Może gdyby nie rana „Alka”, bezpośredniego dowódcy „Huberta”, wypadki potoczyłyby się inaczej.

Zatrzymana starciem pod Arbeitsamtem część oddziału biegnie dalej.

Wszystko to trwało jednak już nad miarę długo. Niemcy ochłonęli z wrażenia. Przejeżdżająca obok opancerzona ciężarówka wojskowa rozpoczyna pościg za ostatnim autem, tym, którym jedzie ranny „Alek”. Ciężarówka jest szybsza. Wyprzedza i na ulicy Długiej, przy placu Krasińskich, zajeżdża naszemu pojazdowi drogę. Z ciężarówki wyskakują dwaj niemieccy żołnierze. Wtedy ciężko ranny „Alek” po raz drugi rozstrzyga

¹⁹ Archiwum im. Floriana Marciniaka.

starcie. Uchyła drzwiczki swego samochodu i pod nogi niemieckich żołnierzy, a zarazem pod koła wrogiej ciężarówki, rzuca ostatni granat. Droga odwrotu zostaje otwarta. Samochód zawraca po opustoszałym chodniku, dojeżdża do Miodowej i znika w gąszczu miasta.

Opowiadanie trwa długo. Lecz w rzeczywistości czasu było tylko tyle, aby ostatnia piesza grupa wycofujących się zdążyła wybiec z wąskiego gardła ulicy Długiej. Przed chwilą padła już komenda: „Chować broń”. A teraz krótka instrukcja: rozejść się na dwie strony ulicy, pytać przechodniów — co się tam stało?

W poakcyjnym raporcie „Orsza” melduje: (...) *godz. 17.45. Dobiegamy do rogu Miodowej, trafiamy na pani-kę, dwu granatowych odwraca się do nas plecami...*²⁰

Biegący skręcają w prawo w ulicę Miodową i rozpraszają się. Wszyscy mają instrukcję zdać broń w magazynie przy ulicy Ciepłej. Tam się policzą. „Orsza” i „Giewont” dobiegają do kościoła Kapucynów. Opodal na Kapucyńskiej stoją na postoju dorożki konne. Uda-jąc spokój i brak pośpiechu wsiadają do pierwszej. Każą się wieźć na plac Napoleona. Po drodze na Krakowskim Przedmieściu wyprzedzają idącego pieszo i całkowicie wmieszanego już w tłum „Anodę”.

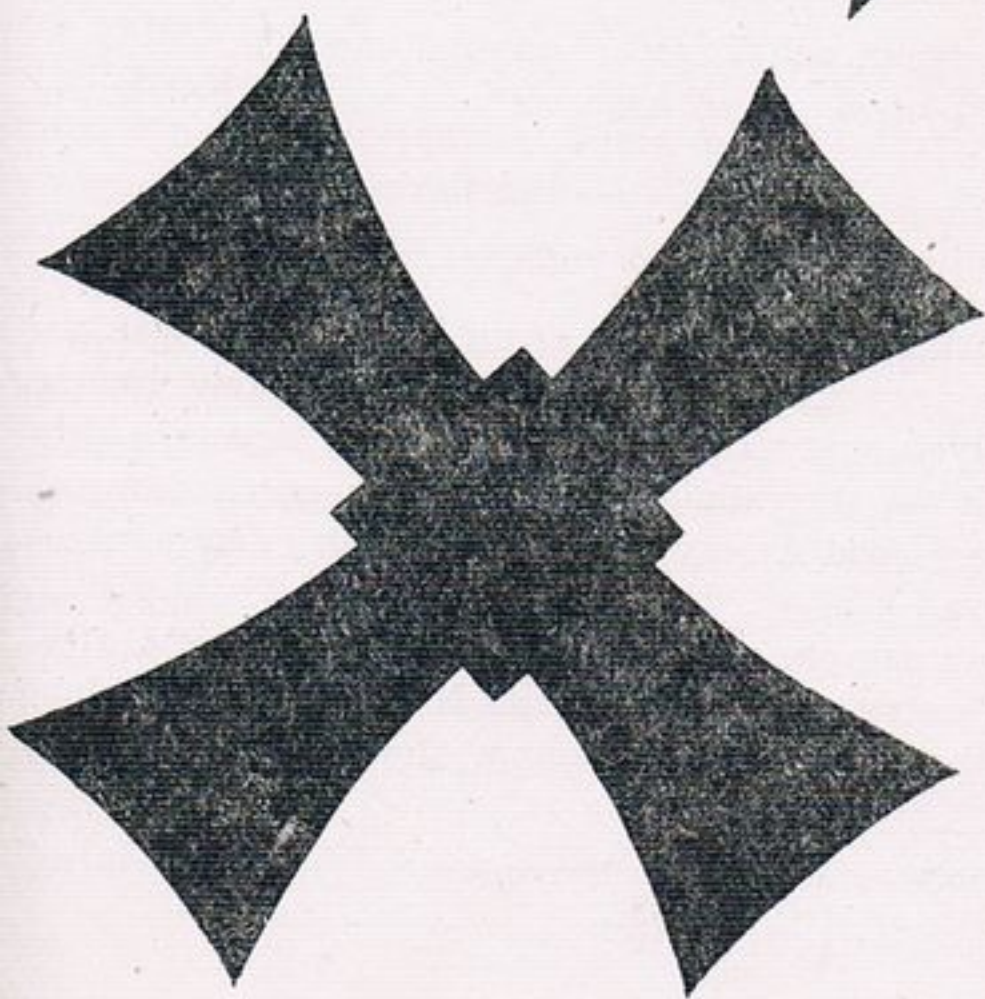
Wszystko cichnie, dzielnica wraca do normalnego wy-glądu. Tylko na skrzyżowaniu Bielańskiej i Długiej pustka. Więźniarka pali się równym płomieniem. W szoferce leży kierowca. Na jezdni trzech gestapow-

²⁰ Muzeum Historyczne m. st. Warszawy.

ców; dwóch, którzy wypadli z szoferki i ten, którego martwego wypchnięto z tylnej ławeczki więźniarki. Gdzieś w głębi Nalewek leży oficer SS, pod arkadami Arsenалу granatowy przodownik, na rogu na wprost Arsenалу — drugi granatowy policjant.

Jest cisza. Za parę minut zapanuje tu inny, okupacyjny ruch. Będą padać nienawistne rozkazy: *Schneller, schr eller.*

PO WALCE



Samochód ewakuacyjny szybko jechał przez miasto. Dziś, gdy żaden z jego pasażerów nie żyje, jedyną informacją o tych chwilach może być wspomnienie „Zośki”. Wspomnienie dotyczy oczywiście głównie osoby „Rudego”:

Przez pierwsze chwile nie zwracałem nań uwagi — pisze „Zośka” — zmieniając wystrzelone magazynki i obserwując ulice, którymi jechaliśmy. Za chwilę obejrzałem się na Janka. Patrzył na mnie olbrzymimi, szeroko rozwartymi oczami. Na twarzy malował się uśmiech przez skurcz bólu. Wziął moją rękę w swoją i trzymał mocno. Dłonie miał czarne i spuchnięte. Mówił:

— Tadeusz, ach Tadeusz, gdybyś wiedział...

Uspokajałem go, mówiąc, że za chwilę będzie w domu.

Po chwili:

— Nie myślałem, że to zrobicie...²¹

Samochód zatrzymał się przed ukrytym w ogrodzie domem przy ulicy Ursynowskiej. Rozognione twarze przybyłych, wyrzucana z kieszeni broń, zaciśnięte usta rannych — wszystko to przeniosło rozgorączkowaną atmosferę spod Arsenału pod cichy dach mokotowskiego domu.

W tym samym czasie dorożka wioząca „Orszę” i „Giewonta” zatrzymała się na placu Napoleona. „Giewont” zabrał broń, by ją z powrotem złożyć w podłogowej

²¹ Archiwum im. Floriana Marciniaka.

skrytce kawalerki na Szkolnej, „Orsza” natomiast połączył się telefonicznie z mieszkaniem Floriana Marciniaka. Zgodnie z umową tam miał złożyć pierwszy meldunek.

Floriana jeszcze nie było. Nie zdążył dojechać do swego mieszkania na ulicy Odolańskiej. Teraz zapewne spieszył po umówiony meldunek, zaniepokojony o losy akcji i jej wykonawców. Odgłosy długiej, jak mu się wydawało, przewlekłej walki, w które wsłuchiwał się stojąc z majorem Kiwerskim na stopniach Banku Polskiego, powodowały ten niepokój.

Telefon „Orszy” odebrała żona Floriana. Meldunek brzmiał: „Kupiliśmy. Trzy worki rozpruły się trochę przy przeładunku”.

Po tym meldunku „Orsza” rusza jak najprędzej do sanitariatu na Ursynowską. Nieco później przybędzie tam prosto ze swego mieszkania Florian.

Natychmiast po przyjeździe dekawki sanitariat przystąpił do pracy. Stan „Rudego” był straszny, lecz w pierwszym momencie można mu było pomóc tylko wygodnym łóżkiem. Rannego w brzuch i w nogę „Buzdygana”, po dokonaniu opatrunku, zdecydowano przewieźć do szpitala Przemienienia Pańskiego na Pradze, niezbędna bowiem była natychmiastowa operacja. Odwożących poinformowano, jak załatwić na terenie szpitala tę delikatną z punktu widzenia bezpieczeństwa sprawę.

Powoli ścigało też na Ursynowską paru dalszych

członków oddziału. Przynosili coraz to nowe informacje o przebiegu akcji. Ponadto zwiększali poczucie bezpieczeństwa tego najbardziej chyba poszukiwanego w tej chwili przez gestapo mieszkania na terenie Warszawy. Na stole leżało pełno broni.

Główne zainteresowanie koncentrowało się na „Rudym”. Powodowała je nie tylko braterska przyjaźń panująca w tym gronie, nie tylko świeże, silne a tak stapiające w jedno przeżycie, lecz i potworny stan „Rudego”: mógłby być przykładowym dowodem przed sądem nad niemieckim bezprawiem i zbrodnią.

I znów nie może być lepszego opisu jak pamiętnik „Zośki”:

Z trudem wynieśliśmy go z samochodu na łóżko. Nie można go było dotknąć w żadną część ciała. Rozebraliśmy i przykryli go. Całe ciało od pasa do kolan miał jakby silnie opalone i spuchnięte. W wielu miejscach strupy i zakrzepła krew. Nie widać było sińców. Całe ciało było równomiernie rozbite.

Skarżył się na ból i mówił:

— Tadeusz, jak rozkosznie, jak przyjemnie.

Po chwili powiedział, że nie jadł nic od poniedziałku. Daliśmy sucharki i herbatę, ale jeść nie bardzo mógł...²²

Ze względów bezpieczeństwa „Rudego” nie można było zostawić na Ursynowskiej. Przecież tam zajechał samochód. Ktoś mógł to widzieć. Mógł sobie skojarzyć, gdy dowiedział się o akcji; terminy się zgadzały... Ustalono więc, że skoro tylko zapadnie zmrok i godzina poli-

²² Tamże.

cyjna zapędzi wszystkich niepowołanych świadków do domu, „Rudy” zostanie przeniesiony do mieszczącego się przy ulicy Kazimierzowskiej 15 mieszkania profesora Gustawa Wuttke. Profesor był ojcem „Czarnego Jasia” i „Małego Tadzia”, dwóch członków Warszawskich Szarych Szeregów. „Czarny Jaś” należał zresztą, jak wiemy, do najbliższych przyjaciół „Zośki”, „Rudego” i „Alka”.

Przeniesienie „Rudego” na nowe, całkowicie już spokojne — jak sądzono — miejsce obmyślono starannie. Bezpieczeństwo mieli zapewnić idący przodem i z tyłu koledzy. Ponadto liczono, że małe, zadrzewione i słabo oświetlone uliczki mokotowskie pozwolą przemknąć się niepostrzeżenie. Oba mieszkania były zresztą położone blisko siebie. W ostateczności zdecydowano się użyć broni, w jaką zostali wyposażeni wszyscy przenoszący.

Przenosiny odbyły się szczęśliwie. Dokonali ich „Orsza”, „Zośka”, „Giewont”, „Czarny Jaś” oraz dwaj synowie właściciela willi na Ursynowskiej, inż. Adama Mirowskiego — „Bolek” i „Oracz”, również jak najbardziej zaangażowani członkowie Szarych Szeregów.

„Rudy” przenoszony był na kocu. Ku rozpaczy przyjaciół sprawiało mu to silny ból, jak zresztą każdy ruch.

Nastąpiła teraz dramatyczna walka o życie „Rudego”. Sprowadzono najlepszych lekarzy, do jakich potrafiiono dotrzeć. Oczywiście, musieli to być ludzie, których postawa gwarantowała dochowanie tajemnicy i którzy sami zdecydowali się włączyć w sprawy tak trudne i ryzykowne. Poza doktorem Trojanowskim, który pierwszy na punkcie sanitarnym badał „Rudego”, badali go teraz

jeszcze dr Jan Bogdanowicz, dr Walenty Hartwig i dr Marian Pertkiewicz.

Na każdym robił kolosalne wrażenie wygląd Janka... — wspomina „Zośka”, ciągle powracając do jego wyglądu i coraz bardziej beznadziejnego stanu. — *Opierającego się nam na ramionach, podtrzymując mu zwisającą głowę, zaprowadziliśmy go do ustępu. Oddał mocz pierwszy raz od czterech dni. Jęczał z bólu, jednocześnie mówiąc, jak jest szczęśliwy i jak jest rozkosznie. Na chwilę zasnął... Ostatnie dwadzieścia cztery godziny męczył się strasznie, sen przerywały tylko paroksyzmy bólu.*

— *Tadeusz, Tadeuszu, jak boli, jak strasznie boli, już nie mogę, ratuj...²³*

Walka o to życie stawała się beznadziejna. Zdecydowano, że pomoc może tylko operacja, a i ona nie rokowała większych nadziei.

Lecz operacja piętrzyła ogrom trudności, zda się nie do pokonania. Bezpieczeństwo „Rudego” — a to była jednak sprawa podstawowa — wykluczało operację w szpitalu. Zorganizowanie natomiast operacji w domu prywatnym wymagało nie tylko wielkiego wysiłku, umiającego przewyciężyć każdą trudność, lecz także i przede wszystkim przełamania zahamowań i oporów lekarzy, którzy wzbraniali się podjąć zadania w warunkach przeczących wszelkim zasadom sztuki medycznej.

Dr Andrzej Trojanowski podjął się. Dał też wska-

²³ Tamże.

zówki, jak należy urządzić i wyposażyć pokój, w którym miał dokonać operacji.

Problem techniczny pomogła rozwiązać Wanda Opęchowska, wspomniana już wiceprzewodnicząca Szarych Szeregów; ta sama, dzięki której nawiązano bezcenny kontakt z „Lolą”. Wanda Opęchowska znalazła pomieszczenie na operację — pokój w willi przy ulicy Kieleckiej. Jej współpracowniczka, instruktorka harcerska, Iwaszkiewiczówna, zgromadziła potrzebne wyposażenie. Wszystko było gotowe. Operację wyznaczono na przedpołudnie 30 marca.

O umówionej godzinie dr Trojanowski czekał na pętli tramwajowej przy ulicy Rakowieckiej. Czekał na „Orszę”, który miał go zaprowadzić do zakonspirowanej sali operacyjnej. Niestety „Orsza” przyniósł inną wiadomość: w ostatnich godzinach stan „Rudego” tak gwałtownie zaczął się pogarszać, że „Zośka” zdecydował przewieźć go do szpitala Wolskiego. W podjęciu tej decyzji, a także w zorganizowaniu przewozu i umieszczeniu w szpitalu „Zośce” dopomógł członek Głównej Kwatery Szarych Szeregów Jan Rossman, żyty z chłopcami z 23-ej drużyny. W chwili gdy „Orsza” przekazywał tę wiadomość doktorowi Trojanowskiemu, nie było pewności, czy „Rudy” jeszcze żyje.

Gdy gasło życie „Rudego”, a wszelkie wysiłki ratowania go i przewycięzania połączonych z tym trudności okazywały się bezowocne, przez niejednego mózg przesunąć się musiało dramatyczne pytanie: czy było warto? Przecież to pytanie wyrwie się nawet „Zośce” w chwili, gdy życia „Rudego” nie da się już dłużej podtrzymy-

wać, gdy nastąpi koniec. Czy było warto? Koszt znali wszyscy. Było nim wielkie ryzyko, rany „Alka” i „Buzdygana”, które niebawem okażą się śmiertelne, oraz aresztowanie „Huberta”. O pełnym bilansie akcji nie chciał wówczas myśleć nikt z przyjaciół „Rudego”. Po stronie aktywów chcieli mieć tylko jego jednego. Właśnie to życie się kończyło. Więc czy było warto?

Lecz kto uświadomił sobie te cztery dni wolności, jakie ofiarowano „Rudemu”, cztery dni będące nawet w swej ilościowej symbolice rekompensatą za tamte cztery dni piekła, kto zobaczył jego uśmiech wśród skurczów bólu, kto usłyszał to — „jak rozkosznie” — wśród cichego jęku w cierpieniu ponad siły, ten przestawał mieć wątpliwości.

„Rudy” zmarł 30 marca 1943 roku wkrótce po przewiezieniu go do szpitala. Zmarł wolny, otoczony gronem najbliższych przyjaciół, mogąc ocenić prawdziwe braterstwo — wspaniały owoc z takim zapalem prowadzonej przezeń pracy wychowawczej.

„Alek” nie przyjechał na punkt sanitarny przy ulicy Ursynowskiej. Kazał się wieźć do prywatnego mieszkania na Żoliborzu. Jego stan po ranie postrzałowej brzucha wymagał jednak szybkiej interwencji chirurga. Trzeba było przewieźć go do szpitala. Po przeanalizowaniu możliwości zdecydowano się na szpital Dzieciątka Jezus. Tu trafił do rąk dr. Trojanowskiego. Czyż można było lepiej? Niestety operacja nie mogła już uratować „Alka”. Zbyt długi odcinek przewodu pokarmo-

wego był poszarpany pociskiem. „Alek” umierał. Był do końca pogodny. Cieszył się, że dobrze spełnił swój obowiązek. Cieszył się, że „Rudy” jest wolny i szczęśliwy. Myślał dużo o „Rudym”, o kolegach, o akcji. Gdy mu ktoś przyniósł do szpitala pomarańczę, prosił, by ją oddać „Rudemu” — jemu bardziej potrzebna. Był coraz słabszy. Ten „Alek”, najlepiej zbudowany spośród przyjaciół, wysportowany, pełen humoru i optymizmu — teraz był cichy i spokojny. Jego spokój był dla najbliższych jakimś absurdem. Zmarł tego samego dnia co „Rudy” — 30 marca 1943 roku.

„Buzdygan” przewieziony z Ursynowskiej do szpitala Przemienienia Pańskiego natychmiast został poddany operacji. Niestety i jego nie udało się uratować. Zmarł w trzy dni po swoich kolegach — 2 kwietnia 1943 roku.

„Hubert” przyłapany przez Niemców z bronią w ręku nie miał żadnych szans. Zginął w czasie śledztwa.

Śmierć kolegów była dla pozostałych przy życiu wstrząsem. To tylko w żołnierskiej piosence „...koledzy go nie żałują, jeszcze końmi go tratują...” W rzeczywistości zawsze jest to wstrząs. W rzeczywistości zawsze po nim pozostaje pustka.

Lecz twarda konieczność spełnienia obowiązku nie pozwalała na rozpamiętywanie. Tak jak przed paru dniami potrzeba zorganizowania sanitariatu była dla Grup Szturmowych zagadnieniem, z którym na tę skalę zetknęły się po raz pierwszy, tak teraz należało rozwiązać sprawę pogrzebów. Nie była to rzecz prosta. Na

każdym kroku czyhało niebezpieczeństwo przedostania się informacji do niemieckiej policji. Śmierć młodego człowieka, zwłaszcza od rany postrzałowej, musiała nasuwać skojarzenia, które dla organizacji podziemnej mogły okazać się groźne w skutkach. Trzeba było więc wejść w kontakt ze szpitalami, prosektoriami, urzędnikami sporządzającymi akta zejścia oraz z przedsiębiorstwami pogrzebowymi i grabarzami, by apelowaniem do obywatelskiej postawy, pieniędzmi, a czasem groźbą, wykonać pomyślnie tę trudną pracę.

Niestety było pewne, że te smutne czynności trzeba będzie wykonywać również po innych akcjach. Wszak dla oddziałów Kedywu akcje bojowe stać się muszą chlebem powszednim. Akcje zaś będą pociągać za sobą straty. Zdecydowano więc, że w Warszawskich Grupach Szturmowych powstanie jednoosobowa komórka specjalizująca się w załatwianiu spraw pogrzebowych, nawiązywaniu kontaktów, znająca odpowiednie przepisy. Nowo utworzoną komórkę powierzono Tadeuszowi Mirowskiemu „Oraczowi”. Któż mógł wtedy przewidzieć, że następny pogrzeb będzie właśnie pogrzebem „Oracza”.

Ostatnim ogniwem spraw pogrzebowego łańcucha był cmentarz. Bezpośrednio po śmierci „Rudego” odbyła się na ten temat rozmowa pomiędzy wiceprzewodniczącą Szarych Szeregów — Wandą Opęchowską, Naczelnikiem Szarych Szeregów — Florianem Marciniakiem a komendantem Warszawskiej Chorągwi — „Orszą”. Ustalono, że poprzez komórkę duszpasterską Komendy Głównej Armii Krajowej należy uzyskać pra-

wo pochowania „Rudego” na cmentarzu wojskowym na Powązkach w Warszawie. Ustalono dalej, że „Rudy” ma być pochowany pod „lewym” nazwiskiem, oraz że przy okazji załatwiania jego sprawy należy przesądzić tryb załatwiania podobnych spraw w przyszłości. Rozmowę z komórką duszpasterską przeprowadziła Wanda Opęchowska. W wyniku tej rozmowy zostało wybrane miejsce na grób „Rudego” — to samo miejsce, w którym grób się znajduje obecnie, oraz miejsca na dalsze ewentualne groby — teren całej obecnej „działki” batalionu „Zośka” aż do granicy „działki” Dowborczyków. W parę dni później „Rudy” mógł być pochowany na wskazanym miejscu. Spoczął jako ppor. Jan Domański. Brzmienie tego nazwiska przesądził „Zośka”, chcąc w ten sposób podkreślić więź istniejącą między „Rudym” a jego wychowawcą, nieżyjącym już wówczas harcmistrzem Lechem Domańskim. Pogrzeb „Rudego” odbył się w obecności zaledwie paru osób. Decyzję zachowania takich środków ostrożności wydał komendant Warszawskiej Chorągwi — „Orsza”. Decyzja ta była później przestrzegana przy wszystkich pogrzebach, jakie odbyły się na „działce” w czasie trwania wojny.

„Alka” pochowano na cmentarzu Powązkowskim cywilnym w jego nowej wówczas części. Dopiero po wojnie zwłoki „Alka” zostały ekshumowane i przeniesione na „działkę”. Spoczął wówczas we wspólnej mogile z „Rudym”. Ta wspólna mogiła stała się symbolem braterstwa, które nie cofa się przed ofiarą życia.

„Buzdygan” pochowany został również na cmentarzu

cywilnym, lecz w starej jego części. Tam był grób jego rodziny. Przy obu tych pogrzebach, zarówno „Alka” jak i „Buzdygana”, przestrzegana była także zasada obecności jak najmniejszej liczby osób, mimo że chowani byli nie na „działce” cmentarza wojskowego, lecz w zwykłych grobach rodzinnych.

Podobnie jak o wszystkich przygotowaniach do walki, tak i teraz o likwidacjach jej skutków opowiadać można po kolei. W rzeczywistości przebiegały one równoległe do siebie, niemal jednocześnie. Czasem ta jednoczesność była wprost nie do zniesienia. I tak, gdy wszyscy starali się stworzyć „Rudemu” pogodną atmosferę, gdy unikano bolesnych dla niego tematów, chyba że sam chciał o nich mówić, ciężki obowiązek kazał „Orszy” zasiąść przy łóżku chorego i zadawać mu dziesiątki pytań dotyczących śledztwa. Interesowały nie tylko metody śledztwa, zaskoczenia, podstępny, konfrontacje; nie tylko osoby gestapowców, ich zachowanie się, pokoje, w których urzędowali. Przede wszystkim interesowała odpowiedź na pytanie — co o nas wiedzą? „Zośkę” denerwowała i bardzo drażniła ta rozmowa. Obawiał się, że może być ona zbyt męcząca i zbyt przykra dla „Rudego”. Lecz cóż było robić? Na podstawie odpowiedzi „Rudego” zaczął rysować się obraz tego, co gestapo wie o Szarych Szeregach, czego trafnie się domyśla i czego błędnie oraz tego, o czym nie ma najmniejszego pojęcia. Rzecz prosta, już przedtem Szare Szeregi posiadały pewną ilość informacji z tej dziedziny. Napływały one od „Loli” czy ostatnio od „Wesołego”, pochodziły z obserwacji wszystkich dotychczasowych aresztowań i re-

wizji. Jednakże te, które przybywały teraz, były bezcennym wzbogaceniem rysującego się obrazu. Ich posiadanie pozwalało z poczuciem równorzędności prowadzić bezwzględną grę z gestapo.

Drugim informatorem, który w wyniku akcji mógł uzupełnić wiedzę Szarych Szeregów o gestapo, był „Heniek”. Szybko i sprawnie poprzez praski hufiec Grup Szturmowych nadszedł do Komendy Chorągwi sygnał, gdzie „Heniek” obecnie się znajduje i jak można z nim nawiązać kontakt. Niezwłocznie udał się więc „Orsza” do kryjówki „Heńka” — mieszkania jakichś bliskich „Heńkowi” ludzi przy ulicy Strzeleckiej na Pradze.

Spotkanie było serdeczne. „Heniek” wyglądał i czuł się o wiele, wiele lepiej niż „Rudy”. Tylko bardzo wymizerowana twarz, sińce pod oczami, ostrzyżona do gołej skóry głowa, a także jakiś niepokój i smutek w oczach mówiły o tym, co przeszedł w ciągu ostatnich dni. Znowu nastąpiła seria pytań; w odpowiedzi — znowu długie, bardzo przykre w swej szczegółowości opowiadanie przerywane nowymi, nasuwającymi się co chwila pytaniami. Obraz tego, co gestapo wie, znacznie się uzupełnił, nieco skorygował.

Jedno spotkanie z „Heńkiem” nie wystarczyło jednak. Zresztą miała to być tylko rozmowa wstępna, po której z „Heńkiem” chciał się zobaczyć sam Naczelnik Szarych Szeregów — Florian Marciniak. Umówiono więc kolejne spotkanie. Miało ono się odbyć następnego dnia na Wybrzeżu Kościuszkowskim, pod pomnikiem Dowborczyka.

Florian Marciniak z największym zainteresowaniem

i z największą troską doglądał wszystkich spraw związanych z likwidacją skutków akcji. Szczególnie mocno pilnował tych, które wiązały się z bezpieczeństwem Grup Szturmowych. Wychodził z założenia, że czuwanie nad bezpieczeństwem kierowanej przezeń organizacji jest jednym z jego najważniejszych zadań. Poczucie odpowiedzialności nie pozwalało mu na wyręczanie się kimkolwiek w wykonywaniu tego zadania. „Orsza” dostał więc polecenie jedynie pomagać mu w tej sprawie, ułatwiać.

Nie tylko zresztą z „Heńkiem” rozmawiał teraz Florian. Z „Rudym” rozmawiał także, wyjaśniając najbardziej podstawowe zagadnienia i pozostawiając „Orszy” tylko szczegóły do dopracowania.

Spotkanie pod pomnikiem Dowborczyka znów uzupełniło wiedzę o gestapo, o jego metodach oraz o jego zasobie informacji. Jednym z ostatecznych wniosków było przekonanie, że gestapowcy Lange i Schultz urzędujący stale w pokoju nr 228 w gmachu gestapo przy alei Szucha — ci sami, którzy tak brutalnie badali „Rudego” i „Heńka” — wiedzą o Szarych Szeregach stosunkowo najwięcej. Należało sądzić, że nie wszystko, co wiedzą, zostało zanotowane. Niektóre wrażenia wzrokowe, skojarzenia były zapewne zapisane tylko w ich pamięci. Tak musiało być przy najpoważniejszym, najrzetelniejszym, wykonywanym z niemiecką dokładnością urzędowaniu. Tę pamięć, tę wiedzę o Szarych Szeregach należało jak najszybciej zniszczyć. Lange i Schultz muszą zginąć. Taka była decyzja Floriana. Likwidacja Langego i Schultza nie powinna być aktem

zemsty, aczkolwiek trzeba było dużego wysiłku woli, aby się od chęci zemsty powstrzymać. Ma to być zlikwidowanie gestapowskiego ośrodka informacji o Szarych Szeregach. Ma to być ponadto wymierzenie kary, która stałaby się odstrasającym przykładem dla innych zwyrodniałych gestapowców. Odstraszająca kara musiała również spotkać Sommera, restauratora z ulicy Długiej, który ujął i wydał w ręce gestapo „Huberta”. Wszystkie te decyzje zostały oczywiście przekazane do zaakceptowania przez Kedyw w normalnym trybie postępowania w takich sprawach. Szare Szeregi przywiązywały ogromną wagę do praworządności, jaka powinna panować w Podziemnej Polsce. Wystarczy przypomnieć to wszystko, co działo się 23 marca 1943 roku.

Wiedza Szarych Szeregów o gestapo poszerzyła się w wyniku akcji. Lecz jednocześnie nie było wątpliwości, że druga strona robi teraz wszystko, czyni ogromne wysiłki, by w te Szare Szeregi uderzyć. Przecież do tego wystarczyłaby sama wściekłość, że ktoś w ogóle poważił się podnieść rękę na nietykalną dotąd potęgę gestapo. A jeszcze trzeba dodać śmierć kilku gestapowców, rany innych i wreszcie przerwanie nici śledztwa, prowadzonego z taką pasją i z takim pośpiechem. Nie było żadnych wątpliwości. Na pewno uruchomione zostały dodatkowe środki, na pewno wychodzono z siebie, aby uderzyć, aby trafić.

To uderzenie było teraz szczególnie groźne. Nie należało zapominać, że podczas akcji nastąpiła poważna

dekonspiracja wielu ludzi z Grup Szturmowych. W szeregu przypadków byli to ludzie z kadry kierowniczej. Dwudziestu ośmiu członków oddziału mogło być przecież zapamiętanych przez wielu mniej lub więcej przypadkowych świadków akcji. Choćby ostatni gestapowiec z konwoju, który ranny wymknął się jednak pod koniec walki; choćby ten cywil, którego trzymał pod rewolwerami „Anoda”, a któremu „Orsza” darował życie; choćby urzędnicy Arbeitsamtu strzelający z drzwi, z okien, ze swego dziedzińca — większość z nich wszak pozostała nietknięta. A poza tym ktoś, kogo atakujący uważali za zabitego, mógł być przecież tylko ciężko ranny i po dojściu do przytomności świadczyć w toczącym się na pewno śledztwie. Ktoś mógł patrzeć z okna, zza firanki. I wreszcie każdy anonimowy przechodzień. W pierwszym momencie przecież było ich pełno. Gdy potem pierzchali na wszystkie strony, mogły się im wryć w pamięć rysy wyjmującego broń „Zośki”, czy też idącego pod prąd fali uciekających „Kadłubka”. Goście z knajpki na Długiej, jej właściciel i ten niedoszły amator telefonowania, z którym „Jur” miał scysję, mogli zapamiętać jego sylwetkę i rysy. Usunięty z rekwizowanego auta kierowca mógł rozpoznać twarze „Orszy”, „Giewonta” czy „Jurka TK”. Chociaż więc do anonimowego warszawskiego przechodnia można było mieć zaufanie, co pięknie świadczyło o świadomości obywatelskiej i patriotyzmie Polaków, jednak należało brać pod uwagę, że tych dwudziestu ośmiu, czy teraz po stracie „Alka”, „Buzdygana” i „Huberta” — tych dwu-

dziestu pięciu jest w poważnym stopniu zdekonspirowanych.

Uznano jednak, że nie należy wpadać w panikę i, na przykład, wydawać rozkazu opuszczenia przez zagrożonych Warszawy. Mimo wszystko Warszawa wydawała się dostatecznie dużym i dostatecznie zagęszczonym miastem, by umożliwić uczestnikom akcji rozplynięcie się w anonimowym tłumie. Trzeba tylko zdecydowanie przeobrazić sylwetki wszystkich zagrożonych. Można tego dokonać przez zmianę charakteru ubrania. Tak też postąpiono. Sportowe sylwetki zmieniły wygląd i charakter przez włożenie tyrolskich kapelusików, luźno puszczonych płaszczy i zawiązanie jedwabnych szalików. Nie obyło się przy tej maskaradzie bez zabawnych scen. W trzy dni po akcji umówione było konspiracyjnym zwyczajem spotkanie „Orszy” z „Zośką” na placu Zbawiciela przy ruinach dawnego Ministerstwa Spraw Wojskowych. „Zośka” zjawił się punktualnie o wyznaczonej godzinie. Był ciekaw, czy „Orsza” pozna go od razu, czy też da się wprowadzić w błąd nowym ubiorem. „Zośkę” rzeczywiście trudno było poznać, gdyż w nowym stroju przypominał młodego, zamożnego ziemianina: miał zielone palto w dobrym gatunku i takiż zielony, myśliwski kapelusz. Nie pozostało w nim nic ze sportowo ubranego młodego człowieka, nie przywiązującego zresztą zbyt wielkiej wagi do swego wyglądu. Wskazówka zegarka zaczęła przesuwac się poza godzinę spotkania. Dlaczego „Orsza” się spóźnia? Było to niezrozumiałe i niepokojące. Za chwilę wszystko się wyjaśniło: kawiarniany złoty młodzieniec w tyrolskim

kapelusiku, jedwabnym szaliku zawiązanym z fantazją pod szyją i w nowym płaszczu ceratowym — okazał się „Orszą”. Mimowolna próba maskowania się wypadła więc nader pomyślnie.

Zresztą nie tylko dekonspiracja była powodem zwiększonego zagrożenia i nie tylko zmiana ubiorów stała się obroną. To, że policja niemiecka na pewno została teraz postawiona na nogi, zmusiło Grupy Szturmowe do dokonania przeglądu stosowanej dotychczas techniki konspiracyjnej. Lokale, magazyny, skrzynki, rozmowy telefoniczne, spotkania, umawiane nieraz na obserwowanych przez gestapo rogach ulic (np. sławne miejsce przed Bankiem Gospodarstwa Krajowego), wszystko to zostało poddane teraz gruntownej analizie poszukującej celowości i bezpieczeństwa każdego poczynania. Stępią na pewnym okresie spokoju uwaga została znów wyostrzona. Przyszłość okaże zresztą, że już nigdy nie nastąpi okres pod względem bezpieczeństwa łżejszy. Przeciwnie, każdy dzień pogarszać będzie sytuację, podnosić napięcie.

Największe zagrożenie powstało w wyniku zatrzymania na miejscu akcji „Huberta”. Trzeba sobie było jasno powiedzieć: to była następna nitka, która pozwalała Niemcom kontynuować śledztwo. To prawda, że „Hubert”, będąc tylko szeregowym, wiedział niewiele, nie mógł mieć żadnych ważnych materiałów, podczas gdy tamci, wyrwani z rąk gestapo — „Rudy” i „Heniek” — to hufcowi, to komenda Grup Szturmowych, to ludzie będący w bezpośrednim kontakcie z Kedywem AK i Komendą Chorągwi Szarych Szeregów.

Z drugiej strony zrozumiałe było, że teraz cała zwielokrotniona energia gestapo bić będzie w tego dwiętnastoletniego chłopca. Ta świadomość była dla wszystkich zwierzchników bardzo ciężka. „Hubert” był twardy. Najlepszym, choć tragicznym tego dowodem jest fakt, że bardzo szybko gestapo zakatowało go na śmierć. Dzisiaj więc nie wiadomo, czy była jakaś notatka, czy nawet jakiś mało maskujący szyfr, dość, że od razu, pierwszej nocy nastąpiły dwa uderzenia gestapo. Natychmiastowe, ale i jedyne. Z „Huberta” nie wydobyci później nic; te nowe aresztowania nie przyniosły Niemcom żadnych dalszych elementów śledztwa.

Owe dwa uderzenia to aresztowanie rodziny jednego z uczestników akcji, Jerzego Trzcńskiego „Tytusa”, oraz paru osób z mieszkania państwa Zdanowiczów, w którym odbywały się zbiórki drużyny „Alka”. Te dwa adresy mógł mieć zanotowane „Hubert”.

Sam „Tytus” ocalał. Gdy do jego mieszkania, mieszczącego się w domu przy ulicy Marszałkowskiej 74, przyjechało gestapo, nie było go w domu. Tę noc spędził u sąsiadów w tym samym domu. Gestapo nie zawsze dokonywało aresztowań zamiast nieobecnego. Tym razem albo było szczególnie rozwścieczone akcją, albo miało tylko adres, a nie wiedziało, o kogo chodzi, dość, że zaaresztowano rodziców „Tytusa” i trzy jego siostry. „Tytus” był rozpaczony. Z trudem tylko udało się wytłumaczyć mu, że nie ma żadnego sensu, by sam stawiał się w gestapo. Rodziny nie zwolnią, a jego zakatują. Więc pozostał, tylko z jeszcze większą pasją, z jakąś determinacją oddał się pracy podziemnej. Nie-

długo ona trwała: w niespełna miesiąc później „Tytus” wpadł przy zupełnie innej okazji w jakimś lokalu kolportażowym. Bronił się, lecz gestapo go dostało; przeszedł śledztwo, obóz i wreszcie doczekał końca wojny. Jego rodzice zginęli w obozie. Siostry przeżyły.

Z mieszkania państwa Zdanowiczów, mieszczącego się przy ulicy Grottgera 21, gestapo zabrało trzy osoby. Członka Szarych Szeregów Przemka Zdanowicza, siedemnastoletniego chłopca; jego ojca, Witolda Zdanowicza „Butryma”, oficera obwodu „Obroza” Armii Krajowej, oraz sublokatora, Mazurka. Wszyscy trzej przetrzymali śledztwo, przetrzymali obóz i doczekali wolności.

Żadne inne aresztowania, które można by powiązać z akcją, nie nastąpiły w Szarych Szeregach. Śledztwo utkwilo na martwym punkcie. Nie udało się gestapowcom związać zerwanej pod Arsenalem nici.

Już dwakroć trzeba było się zastrzec, że tylko opis przedstawia wydarzenia kolejno. W rzeczywistości przebiegały one równolegle, niemal jednocześnie. Teraz szczególnie mocno trzeba o tym przypomnieć. Raport z przeprowadzonej akcji musiał bowiem być złożony szybko

I rzeczywiście trzeciego dnia po akcji Florian Marciński pisał:

*Główna Kwatera
Szarych Szeregów*

Dowództwo Dywersji

Dnia 26 bm. za pozwoleniem p. Lipińskiego wydałem rozkaz odbicia więźniów — przewożonych w tym dniu z Szucha na Pawiak. Akcję przeprowadził specjalny oddział Szarych Szeregów Chorągwi Warszawskiej, złożony z 25²⁴ ludzi pod osobistym dowództwem Komentanta Chorągwi D-ha Orszy. Akcja miała na celu odbicie hufcowego I Hufca Starszoharcerskiego, D-ha Jana Rudego, aresztowanego w dniu 23 b.m., którego gestapo badało w sposób bestialski w ciągu dni: 23, 25 i 26.

Akcja została uwieńczona pełnym sukcesem. Uwolniono: D-ha Jana Rudego i 24 więźniów politycznych, w tym drugiego hufcowego Hufca Starszoharcerskiego na Pradze D-ha Ostrowskiego.

Straty własne: 2 ciężko rannych i jeden aresztowany. Z więźniów: jeden mężczyzna został ponownie schwytany około 40 minut po akcji w pobliskich ruinach i jedna kobieta została w czasie akcji ranna, którą też należy uważać za straconą. Straty nieprzyjaciela: na pewno 6 zabitych, prawdopodobnie trzech dalszych zabitych i 3 rannych (w zabitych na pewno jeden granatowy i prawdopodobnie też jeden). Zniszczono jedną ciężarówkę nieprzyjaciela. Zdobyto dwa auta, z tego jedno później porzucono, jeden walter.

Za przeprowadzenie akcji tej proszę o mianowanie dowódcy oddziału D-ha Orszy oficerem czasu wojny,

²⁴ Podana w raporcie liczba uczestników (26) różni się od rzeczywistej ze względu na niewliczenie opóźnionego „Felka” oraz „Jura”, który odbierał telefon zapowiadający akcję.

a 5-ciu uczestników za męstwo, brawurową odwagę i bezgraniczne poświęcenie — udekorowanie odznaczeniami bojowymi.

Szczegółowy opis przebiegu akcji prześlę w dniu jutrzejszym, po ostatecznej odprawie.

(—) J. Nowak
Naczelnik Szarych Szeregów²⁵

m.p. 29.III.1943 r.

Mimo zapowiedzi znajdującej się na końcu listu, ten szczegółowy opis nie został przesłany dnia następnego. Coś musiało stanąć na przeszkodzie. Wiemy, jak bardzo wypełnione były te dni. Dopiero z pięciodniowym opóźnieniem wysłano list następny:

Główna Kwatera
Szarych Szeregów

Dowództwo Dywersji

W uzupełnieniu mego meldunku z dnia 29.3.br. odnośnie akcji odbijania więźniów, jadących z alei Szu-cha na Pawiak w dniu 26.3.br. na skrzyżowaniu ulic Bielańskiej i Długiej, przesyłam:

1. Sprawozdanie z przebiegu akcji wg raportu Orszy, dowódcy oddziału;
2. Załączam wykaz uczestników akcji, dla których

²⁵ Muzeum Historyczne m. st. Warszawy.

prosiłem o odznaczenia bojowe oraz podaję personalia Orszy z prośbą o mianowanie go ppor. czasu wojny.

W pierwszym meldunku prosiłem o 5 odznaczeń bojowych. Jednakże przy bliższej analizie akcji, zasługujących na odznaczenia okazało się 7. Proszę o uwzględnienie tej zmiany.

Akcja została przygotowana po raz pierwszy w dniu 23.3.br., to jest w dniu aresztowania Rudego. Nie została wykonana ze względu na:

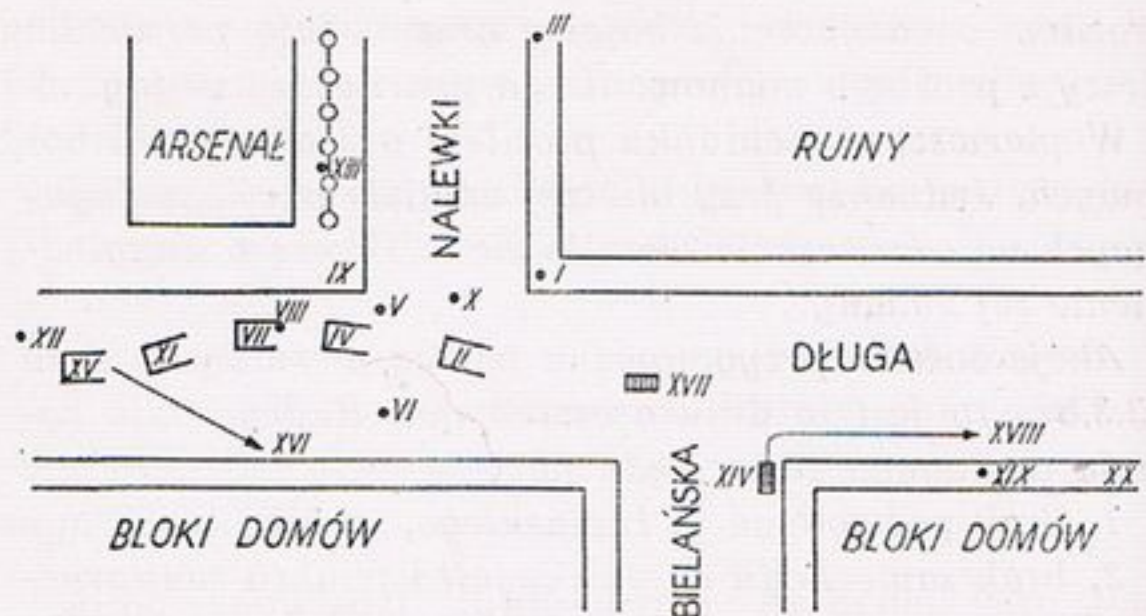
1. brak pozwolenia p. Lipińskiego,
2. brak samochodu do ewakuacji i punktu sanitarnego dla ewakuacji rannych (braki te 26.3.br. zostały usunięte).

(—) J. Nowak²⁶

Tu następuje raport „Orszy”. Zaczyna go znany nam rozkaz dla oddziału omawiający zadania stojące przed poszczególnymi sekcjami (por. s. 63). Po tym rozkazie raport zawiera właściwy opis przebiegu wydarzeń:

G. 17.20. Spostrzegam grupę siedmiu mężczyzn: pięciu w „D” (do rozkazu i opisu dołączono po 1 szkicu; symbole i opisy odnoszą się do oznaczeń na szkicach), jednego uporczywie przechadzającego się koło naszego auta oraz jednego koło mnie. (W toku akcji ludzie ci pierzchli, byli pracownikami przedsiębiorstwa przewozowego, czekającymi na przeprowadzkę). Tymczasem wydali mi się na tyle podejrzani, że zwracam na nich

²⁶ Tamże.



uwagę d-cy „ataku” oraz wzmacniam „ubezpieczenie-Stare Miasto” o jednego z rezerwy i jednego z „ubezpieczenia-Plac Teatralny” z rozkazem baczenia na tę grupę i ewentualnego likwidowania jej.

G. 17.20 i 17.30. Dwukrotnie przejeżdża przez nasz plac motocykl Schutzpolizei z trzema policjantami w hełmach i rkm. Pełniący na samym placu służbę policjant zajmuje punkt „I”.

G. 17.30. Sygnał gwizdkiem. Sygnał powtarza mój przyboczny. D-ca „ataku” podbiega do policjanta „I”, wzywa go do oddania broni. Policjant cofa się na jezdnię i dobywa broni. D-ca „ataku” strzela doń. Po dwu strzałach policjant ranny pada. D-cy „ataku” zacinają się oba pistolety i nie może wykończyć policjanta. W tym czasie auto zdezorientowane strzałami wchodzi w pozycję „II”. Jednocześnie d-ca sekcji „granaty” likwiduje idącego Nalewkami w towarzystwie kobiety oficera SS „III”. Gdy auto weszło w pozycję „II”,

sekcja „butelki” rzuca butelki w szybę szoferki, wybiegłszy na jezdnię. Szoferka staje w płomieniach, auto powoli przejeżdża w pozycję „IV”. Z szoferki wypada płonący Niemiec „V”, drugi wypadł na jezdnię „VI”; Sekcja „butelki” oddaje strzały do tyłu wozu. Wóz toczy się dalej. Siedzący z tyłu gestapowcy dobywają broń i zaczynają strzelać. Wóz stacza się w pozycję „VII”. Siedzący z tyłu gestapowiec „VIII” zostaje zabity przez jednego z sekcji „butelki”. Drugi ostrzeliwuje się bardzo mocno. (Jeden z sekcji „butelki” stwierdził po akcji przestrzelenie oraz wgniecenie od kuli portfela na piersi, a trzecia kula drasnęła go w szyję). Cały „atak” grupuje się w rejonie „IX”. Przebiegającego przez jezdnię członka sekcji „sten I” „Tadzia II”²⁷ rani w brzuch i nogę leżący na ziemi policjant. „Tadzio II” pada w miejscu „X”. „Sten” oddaje serię do Niemca „V”, który mimo płonącego munduru sięga po broń. Niemiec zostaje zabity. Następuje ostra wymiana strzałów grupy „ataku” z pozycji „IX” z siedzącym z tyłu wozu gestapowcem (wóz stacza się do pozycji „XI”) oraz z żandarmami z getta „XII”. W tym czasie plac pustoszeje zupełnie. Przemyka się na rowerze żołnierz niemiecki oraz z zdobytą bronią przejeżdża wojskowe osobowe auto niemieckie, nie ingerując zupełnie w akcję. Tłumy pierzchają, proszą mnie o wskazówki, co mają robić. Spycham je w boczną ulicę. Wymiana strzałów trwa. Auto bardzo powoli toczy się w kierunku getta. „Atak” nie może oderwać się od fi-

²⁷ Inny pseudonim „Buzdygana”.

larów (rejon „IX”). Za jednym z filarów kryje się granatowy przodownik, który został raniony przez jednego z „ataku”. Granatowy policjant „I” leżąc strzela w moją stronę. Dobiega ktoś z „ubezpieczenia-Stare Miasto” i powtórnie rani. Grupuję wszystkie „ubezpieczenia” w moim rejonie „XIV”. Jesteśmy podzieleni na dwie grupy w rejonach „IX” i „XIV”.

G. 17.35. Auto zatrzymuje się w pozycji „XV”. „Atak” odrywa się od filarów, poprzez ruiny wśród strzałów dochodzi do auta. Gestapowiec ostatni, ranny, wyskakuje i ucieka za auto. Wybiegają więźniowie w kierunku „XVI”. Jednocześnie wsadzamy do naszego auta „Tadzia II” oraz zatrzymujemy w rejonie „XIV” drugie auto cywilne terroryzując załogę. „Atak” cofa się unosząc „Rudego” oraz ciągnąc ranną kobietę spośród więźniów. Kobietę ładujemy do zdobytego auta. „Rudy” zostaje załadowany do naszego auta w miejscu „XVII”. Przy szoferze siada d-ca „ataku” i odjeżdża w kierunku Stare Miasto. Za nim auto z ranną kobietą. Gwizdek ściąga wszystkich w rejon „XIV” i „XVII”. Polecam odbiegać w kierunku „XVIII”. Powtórny głośnym gwizdkiem ściągam resztę. Odchodzę w ostatniej grupie. Na końcu biegnie przyboczny. Ulica zupełnie pusta. Za nami nie ma już nikogo. Nagle przed nami padają strzały. To z bramy Arbeitsamtu „XIX” kilku Niemców ostrzeliwuje nas. Zostaje ranny d-ca sekcji „granaty” — „Glizda”²⁸ „XX”, „Anoda” zabija Niemca mierzącego powtórnie do „Glizdy”. „Glizda” z pozycji le-

²⁸ Inny pseudonim „Alka”.

żącej rzuca granat do bramy i kończy opór. Ludzie cofają się z powrotem na mnie. Każę im biec w dym od granatu. Zatrzymujemy trzecie auto, wsadzamy „Glizdę”, siada nasz człowiek i odjeżdża, biegniemy dalej. Chowamy broń.

G. 17.45. Dobięgamy do rogu Miodowej, trafiamy na panikę, dwu granatowych odwraca się do nas plecami. Nasze trzecie auto mija opancerzona ciężarówka wojskowa, staje w poprzek ulicy i dwóch wybiegających z niej żołnierzy kieruje się do naszego auta. Ranny „Glizda” otwiera drzwi samochodu i rzuca granat. Dwaj Niemcy, prawdopodobnie ranni, zostają na ulicy, a ciężarówka ucieka. Skręcam ludzi w Miodową. Każę się rozproszyć na dwie strony ulicy i dopytywać się: „co się tam stało?” Oddział wsiąka w tłum. Zestawienie: W akcji brało udział 1+25 ludzi. Straty własne: jeden aresztowany, dwu ciężko rannych, którzy później zmarli w szpitalu. Straty nieprzyjaciela: 6 zabitych, w tym jeden cywil, rannych — jeden z załogi auta i dwu w bramie Arbeitsamtu, prawdopodobnie również dwu żołnierzy z załogi ciężarówki, poza tym zostało rannych dwu granatowych. Uwolniono dwu ludzi własnych oraz 23 więźniów politycznych, w tym 6 kobiet. Z tego należy uważać za straconych powtórnie aresztowanego mężczyznę i ranioną kobietę. Zniszczono jedną ciężarówkę nieprzyjaciela, zdobyto 2 auta, z tego jedno potem porzucono, oraz zdobyto 2 waltery²⁹.

²⁹ Muzeum Historyczne m. st. Warszawy. W oryginalnym tekście raportu wyraz gestapowiec podano g-owiec.

Raport ten, przypominający sucho i zwięźle raz jeszcze przebieg walki, zestawiono na poakcyjnych odprawach. Dziś widać w raporcie drobne niedokładności, które ujawniły się dopiero później. Dotyczą one strat nieprzyjaciela oraz liczby uczestników akcji. Zestawiając raport sądzono mianowicie, że zostali zabici następujący Niemcy: oficer SS idący ulicą Nalewki i zastrzelony przez „Alka”, cała załoga szoferki, jeden gestapowiec siedzący z tyłu auta oraz cywil, który mierzył w „Alka”, zastrzelony przez „Anodę”. Stąd liczba sześciu zabitych. Według późniejszych informacji spośród pięcioosobowego konwoju zginęło tylko dwóch gestapowców: Ham i Schwarzmann; trzeci — Habicht oraz szofer byli ciężko ranni; o piątym brak informacji, należy więc opierać się na pierwotnej wersji, że był lekko ranny. W ten sposób łączna liczba zabitych powinna zostać ostatecznie zmniejszona do czterech, a łączna liczba rannych podwyższona do dziewięciu.

Druga niedokładność dotyczy liczebności atakującego oddziału. Raport nie uwzględniał zapewne odbierającego telefon „Jura” oraz „Felka”, który przybiegł dopiero w ostatniej chwili, w momencie rozpoczęcia akcji. Tak więc nie z dwudziestu sześciu, a z dwudziestu ośmiu ludzi składał się ostatecznie oddział.

Na odprawach, na których powstawał raport, nie tylko zestawiono suche fakty, ale analizowano je krytycznie i wyciągano wnioski na przyszłość. Te wnioski to bardzo cenny dorobek Grup Szturmowych, to jakby podsumowanie wielkiego, choć kosztownego szkolenia, jakim poza wszystkim była dla nich akcja.

Po długich dyskusjach wnioski dały się ostatecznie sprowadzić do dwóch: do jednego niedopatrzenia w planie akcji oraz do jednej usterki w sposobie prowadzenia walki.

Akcja wykazała, że nad układaniem jej planu zaciążyła obsesyjna wprost obawa o to, czy więźniarkę uda się zatrzymać. To przesłoniło planującym inne niebezpieczeństwo, które podczas akcji zarysowało się wyraźnie i które omal nie doprowadziło do katastrofy. Więźniarka nie przełamywała czterech postawionych jej zapór. Już pierwsza zapora — „butelki” — okazała się dostatecznie silna. Lecz jednocześnie zarysowało się drugie, równie wielkie niebezpieczeństwo, a może gorsze, bo nie przewidziane: więźniarka mogła uciec w bok. Nie nastąpiła wprawdzie świadoma ucieczka: szofer nie kierował już wozem, leżał, jak sądzono — zabity, a w rzeczywistości ciężko ranny, twarzą na kierownicy. Mimo to wóz toczył się i to w tak niekorzystnym dla Polaków kierunku — prosto w ramiona żandarmów stojących u bramy getta. Wyrzucano więc sobie niedopatrzenie tego niebezpieczeństwa ucieczki w bok. W niedalekiej już przyszłości skorzystano z tej lekcji. Gdy w kwietniu tegoż roku miało się odbyć następne odbicie więźniów w Warszawie, tym razem na placu Starynkiewicza, wybierano miejsce specjalnego zawężenia jezdni, a ponadto zaprojektowano dodatkowo ustawienie dwóch wózków śmieciarek, aby wytworzyć prawdziwą ciaśninę. Starannie również penetrowano znajdujący się obok jezdni skwer, zwracając specjalną uwagę na to, czy wykopane w nim prze-

ciwlotnicze rowy będą dostateczną zaporą dla samochodu próbującego ucieczki w bok.

W sposobie prowadzenia walki niepokoiła inna sprawa. Oto sekcje funkcjonowały jako odrębne jednostki tylko w pierwszym momencie. Funkcjonowałyby też może dalej, gdyby wszystko biegło zgodnie z planem. Lecz skoro wypadki potoczyły się inaczej, sekcje okazały się zbyt słabymi organizmami, pękły i powstała tendencja manewrowania całością oddziału, to zaś tym bardziej osłabiło sprawność i odporność na nowe zaskoczenia, nowe zmiany. Ten błąd wynikał chyba z faktu, że była to pierwsza akcja Grup Szturmowych na taką skalę, że sekcje stworzone ad hoc nie mogły się zżyć i przeciwiczyć współdziałania w walce. Błąd wynikał ponadto z tej wielkiej różnicy, jaka istnieje pomiędzy precyzyjnie zaplanowaną akcją dywersyjną a obliczoną na zmiany sytuacji, kierowaną bieżąco walką regularnego wojska. Przeprowadzona analiza nauczyła brać pod uwagę ewentualność przedzierzgnięcia się akcji dywersyjnej w walkę regularną, w której cały czas muszą funkcjonować sekcje jako samodzielne jednostki bojowe. W rok później, gdy część członków Grup Szturmowych walczyć będzie w ramach innej jednostki Kedywu, w ramach „Agatu”, taka sama lekcja przejścia do regularnego boju powtórzy się na polach wsi Udorz w czasie odwrotu po przeprowadzonej akcji na Koppego. Teraz jest to pierwsze doświadczenie. Jak widać, wnioski z akcji nauczyły wiele: podniosły wartość bojową Grup Szturmowych, a w szczególności wartość bojową ich kadry dowódczej.

Akcja zmieniła też sytuację Grup Szturmowych, jeśli chodzi o wyposażenie w środki walki, w sprzęt. Zmiana ta nie wynikała zresztą z tego, co zdobyto: dwa pistolety typu walter i jeden samochód; (drugi, jak podawał raport, oddział musiał porzucić). Zmiana sięgała głębiej. Oddział zdobył sobie w tej walce jakby rycerskie ostrogi; stąd Kedyw hojnie teraz kierował do Grup Szturmowych poszczególne środki ze swego bardzo skromnego rozdzielnika. Inna przyczyna tej zmiany to postawa Grup Szturmowych. Jeszcze parę dni temu o wielu sprawach decydowała ciągnąca się zbyt długo transakcja kupna dekawki; jeszcze w przeddzień jako środek ewakuacyjny miała służyć zwykła wynajęta za pieniądze konna dorożka. Teraz nauczono się wzbogacać park samochodowy jednym zdecydowanym wydobyciem pistoletu. Teraz nauczono się przemalowywać zdobyte wozy, zakładać nowe, fałszywe numery. To wielki przeskok. To wysoki, przebyty próg. I nic dziwnego, że gdy za sześć tygodni nastąpi, nieudana niestety, akcja odbijania aresztowanego wówczas Naczelnika Szarych Szeregów, Floriana Marciniaka, oddział wyjedzie na tę akcję całą zmotoryzowaną kolumną.

Te środki łatwiej dostępne, środki pieniężne, które wyasygnował Kedyw na zakup innych ubrań dla zdekonspirowanych uczestników akcji, postawiły Grupy Szturmowe przed nowym problemem wychowawczym. Powstał kłopot, który do końca konspiracji zaprzętać będzie uwagę dowódców-wychowawców. Jak ustrzec młodych bojowców przed demoralizacją nie zapraco-

wanym, z nieba spadającym pieniądzem, który będąc tylko środkiem, gdy trzeba — znaleźć się musi. Od tego momentu wiele wieczorów przegawędzono w Grupach Szturmowych na owe tematy, wiele decyzji podejmować w tej sprawie musieli dowódcy, by nie dać się zepchnąć na śliską a łatwą drogę. I Grupy Szturmowe cel swój osiągnęły. Nieliczna garść tych, którzy przeżyli Powstanie Warszawskie, dobrnąwszy do końca wojennych dni, mogła mieć pełne zadowolenie z odniesienia jednego z najtrudniejszych, bo wewnętrznego zwycięstwa.

Walka o życie „Rudego” i wysiłki zmierzające do zapewnienia mu spokojnego, bezpiecznego schronienia, walka o życie „Alka” i „Buzdygana” prowadzona pod ustawiczną groźbą ze strony niemieckiej policji, wstrząs, jaki spowodowały trzy bezpośrednio po sobie następujące śmierci, praca nad odtworzeniem wszystkiego, co gestapo wie o Szarych Szeregach, zabezpieczenie oddziału przed konsekwencjami dekonspiracji, raport z akcji, analiza jej przebiegu i wyciągnięcie wniosków na przyszłość, nowe problemy wychowawcze — oto treść tych niewielu poakcyjnych dni. Aż gęsto w nich od decyzji, działań i refleksji. Wątki splecione w piątkowe popołudnie na jednym skrzyżowaniu ulic rozbiegły się teraz po mieście: plac Napoleona, ulice Szkolna, Odolańska, Ursynowska, Kazimierzowska, Kielecka; szpitale: Przemienienia Pańskiego, Dzieciątka Jezus, Wolski; cmentarze: Powązkowski cywilny i woj-

skowy, ulica Strzelecka, pomnik Dowborczyka, magazyn na Ciepłej. A ileż pomiędzy tymi punktami odpraw, rozmów, spotkań, ile lokali, ile przemierzonych tras. Rozsnuły się te wątki po całej podziemnej Warszawie, niedostrzegalne, ukryte, tym także różne od tamtego ujawnionego błysku w piątek na skrzyżowaniu ulic. I były te wątki nieraz tak bardzo różniące się od siebie nawet wówczas, gdy, jakby przypadkiem, w jednym spotykały się lokalu. Pamiętamy, jak różne były dwie rozmowy z „Rudym”; jedna, prowadzona przez „Zośkę” — troskliwa, ciepła, opiekuńcza i druga prowadzona przez zmuszonego do rzeczowości i precyzji „Orszę” — bolesna, męcząca. Każdy z tych różnych zależnych od miejsca i treści wątków niósł w sobie elementy bilansu akcji. Ale do pełnego bilansu jeszcze daleko, bardzo daleko. Pozostały wątki, które nie wymagały pracy Grup Szturmowych, istniały poza nimi, a jednak na bilansie ważyły: losy innych uwolnionych, represje niemieckie. Na koniec pozostały sprawy atmosfery w Grupach Szturmowych, w całych Szarych Szeregach, w całej Polsce Podziemnej, w Warszawie, w Kraju, a także te, które stanowiły ich odwrotność — atmosfera wśród Niemców. To dopiero zarys pełnego bilansu.

Jak późniejsze, powojenne dane pozwoliły stwierdzić, w akcji uwolniono dwadzieścia jeden, a nie dwadzieścia pięć osób. Dotychczas nie udało się zestawić pełnej listy uwolnionych i istnieją poważne obawy, czy to kiedykolwiek będzie możliwe. Niektóre osoby z tej listy rysują się wyraźnie, znane są nawet czasem ich dalsze

życiowe ścieżki, inne pozostają bezimiennie, zapamiętane tylko z jakiejś szybko zmieniającej się sceny.

Listę uwolnionych otwiera Janek Bytnar — „Rudy”. On był przyczyną akcji, on był tym jedynym, którego oczami wyobraźni widzieli przed akcją jej uczestnicy. Dalsze cztery dni życia „Rudego” są nam znane.

O uwolnieniu Henryka Ostrowskiego „Heńka” nie myślano przed akcją. Nie sposób było tak bardzo skoordynować informacji o obu uwięzionych hufcowych Grup Szturmowych, nie sposób było liczyć i czekać na szczęśliwy zbieg okoliczności oddający ich obu równocześnie w nasze ręce. A jednak taki zbieg okoliczności nastąpił. „Heniek” odzyskał wolność. Wiemy już, jak cenne było to dla Szarych Szeregów, jak zdecydowanie przerwało toczące się śledztwo, ile przyniosło informacji o walce gestapo z organizacją. Ponadto było to przywrócenie wolności, a zapewne również ocalenie życia człowiekowi, dzielnemu pracownikowi Polski Podziemnej, bliskiemu koledze. Trochę już o pierwszych dniach wolności „Heńka” wiemy; spotkanie na ulicy Strzeleckiej, spotkanie pod pomnikiem Dowborczyka. Jakie były jednak jego dalsze losy? Uznano, że dalsze przebywanie w Warszawie jest dla niego zbyt niebezpieczne i wobec tego skierowano go do Lubelskiej Choraży Szarych Szeregów. Tam, mimo ciężkich przejść, jakie miał za sobą, wziął się znów ostro do podziemnej pracy, został komendantem Lubelskich Grup Szturmowych. Niestety po kilku miesiącach został aresztowany, było to przypadkowe aresztowanie. Na szczęście „Heniek” w Lublinie występował pod innym nazwiskiem

i gestapo nie zorientowało się, kogo ma w swych rękach. „Heniek” ocalał. Z więzienia wysłano go do obozu, w którym doczekał wolności. Po wojnie osiedlił się w Australii.

Nie odzyskała wolności Helena Siemieńska, żona profesora uniwersytetu, wybitna działaczka kultury. Siedząc u wylotu więziennej budy narażona była bardziej niż inni na pociski zamachowców, usiłujących przełamać opór ostatnich funkcjonariuszy gestapo. Od jednego z pocisków zginęła na miejscu. Dziwnym, bardzo dziwnym zrzędzeniem losu była to ciotka „Zośki”, kierującego ogniem ataku...

Inny pocisk atakujących trafił w nogę siedzącą również u wylotu budy Marię Szyfers. Była tą kobietą, dla której zarekwirowano auto. W czasie ewakuacji samochód został ostrzelany przez granatową policję przed sądami na Lesznie. I tu sprawa zaczyna się gmatwać. Dziś tylko domyślać się można, że ranna zażądała wówczas zatrzymania samochodu i wysadzenia jej na ulicę. Są pewne poszlaki, że była to agentka angielskiego wywiadu, znana w niektórych kręgach warszawiaków jako „Złotowłosa Mary”. Teraz znalazłszy się w tak dramatycznej sytuacji postanowiła zapewne rozpocząć swą własną, trudną grę. Przegrała. Odwieziona przez policję do lecznicy Webera na ul. Chmielnej przebywała tam czas jakiś, następnie została zabrana na Pawiak. Tu umieszczono ją w izolatce. Wiele wskazywało, że jest na jakichś szczególnych prawach, że cieszy się szczególnymi przywilejami. Jednakże ko-

niec był tragiczny: po kilku miesiącach została rozstrzelana wraz z 40 innymi kobietami.

Władysław Wyssogota-Zakrzewski był tym, który usiłował zorganizować od wewnątrz wypchnięcie gestapowców z więźniarki. Pamiętamy, jak poderwał się nieopatrznie i jak natychmiast kula przeszła mu ramię. Mimo rany udało mu się zbiec. Jednakże i on raz jeszcze znalazł się w niemieckich rękach. Ogarnęła go łapanka w dniu 17 maja 1944 roku w Warszawie. Przewieziono go do Gross Rosen, gdzie za próbę zorganizowania ucieczki trafił do kompanii karnej, co równało się wyrokowi śmierci. W stanie ostatecznego wycieńczenia przeniesiony przy likwidacji Gross Rosen do Dory doczekał wyzwolenia. Obecnie przebywa w Argentynie.

Wśród uwolnionych był jeszcze jeden żołnierz Armii Krajowej — Ryszard Walter. Jako inżynier elektryk był cenionym fachowcem w akowskiej komórce łączności. I dla niego wolność przyszła niespodziewanie.

Józefa Obórko komunistyczna działaczka chłopska też została ranna w akcji, lecz faktu tego nie dostrzegli uczestnicy, biegła bowiem razem z innymi; niestety później trafiła do Oświęcimia i została zamordowana tam 17 grudnia 1943 roku.

Halina Moszyńska pracowała w organizacji podziemnej „Konfederacja Narodu”. Poszukiwana przez gestapo wpadła wraz ze swą przyjaciółką, Stefanią Ossowską, u której się ukrywała. Szczęśliwy zbieg okoliczności zrządził, że obie odzyskały wolność. Obu też udało się przeżyć wojnę.

Spośród uwolnionych przeżyli wojnę: inżynier Stefan Stankiewicz, mieszkający obecnie w Warszawie, oraz Leonard Bura, ten, który w czasie jazdy usiłował przeciąć linki podtrzymujące plandekę.

Na tych jedenastu nazwiskach kończą się pewne dane. Dalej są już tylko fragmenty, z których, być może, dłuższe, mozolne badanie potrafiłoby jeszcze coś ułożyć.

I tak podobno wśród uwolnionych był ktoś noszący pseudonim „Żwir”. Może taki pseudonim nosiła któraś z wymienionych już osób, a może ktoś inny.

W parę dni po akcji doszły wiadomości, że wśród uwolnionych był jakiś mężczyzna, który ukrył się w pobliskich ruinach, gdzie odnalazła go przybyła niedługo po odejściu ostatnich bojowców niemiecka policja.

Henryk Ostrowski wymienia wśród uwolnionych, młodą, 14—15-letnią dziewczynę, Żydówkę oraz małżeństwo, prawdopodobnie również pochodzenia żydowskiego, które po wydostaniu się z samochodu szczególnie było zdezorientowane. Może nie znali miasta, może nie mieli tu, poza murami getta, przyjaciół, u których mogliby się ukryć.

Wreszcie ostatnią grupę stanowią ci, którzy po akcji sami dobrowolnie zgłosili się do gestapo, sądząc zapewne, że tak będzie lepiej, lub, być może, nie mając sił, by decydować się na nielegalne bytowanie. Istnieją na ten temat trzy wersje:

— pierwsza, znana już w parę dni po akcji, mówi

o mężczyźnie, adwokacie, którego po tym dobrowolnym zgłoszeniu się gestapo zatrzymało;

— druga wymienia trzech mężczyzn i jedną kobietę, którzy zgłosili się i po kilku dniach zostali zwolnieni;

— trzecia wreszcie wymienia kobietę, która po zgłoszeniu się została zatrzymana, a następnie przebywała w Oświęcimiu; ta nieco zniekształcona informacja dotyczy najprawdopodobniej Józefy Obórko.

Ponadto Regina Domańska w swej książce, *Pawiak więzienie gestapo* (Książka i Wiedza, Warszawa 1978) wymienia jeszcze cztery kobiety: Ludmiłę Matuszewicz, Eugenię Umgielter, Janinę Wilner i Pozner oraz trzech mężczyzn: Marka Kolendo, Leonarda Siwaniewicza i Józefa Zawistowskiego.

To wszystko. Danych jest nawet sporo. Nie ma jednak pewności, czy nie wspominają po kilkakroć tej samej osoby i czy wobec tego nie ma ludzi jeszcze nie rozszyfrowanych.

Gdy się te nazwiska wymienia, gdy się tę listę ustala, powraca w pamięci biegnąca na skos przez jezdnię gromadka uwolnionych. I widać, jak przebogate swą różnorodnością są osobowości ludzkie i nieskończenie różne są ich życiowe ścieżki. Ale widać jednocześnie, jak wszyscy są do siebie podobni, bo są to po prostu Polacy, ludzie, którzy odzyskali wolność.

Później okazało się, że nie wszyscy uwolnieni pobiegli w jednym kierunku. Parę osób, instynktownie szukając jakiegoś najbliższego punktu oparcia, wpadło więc do bramy Arsenалу. Tego momentu bojowcy nie mogli dostrzec, gdyż widok przesłaniała więźniarka.

W bramie czekał już pracownik mieszczącego się w Arsenale archiwum — L. Łucejko. Za chwilę wbiegł też do bramy mieszkający na terenie Arsenału dyrektor archiwum, pułkownik Englert. Obaj pomogli uciekającym: wskazali najwłaściwszą drogę, jednemu dali płaszcz... Nie było w ich mocy zrobić nic więcej — sam Arsenał wydawał się budynkiem najbardziej teraz zagrożonym. I rzeczywiście, gestapo przetrząsając po akcji całą okolicę trafiło i do Arsenału. Nie znalazło, rzecz prosta, nikogo z uwolnionych, lecz podejrzania o udzieleniu pomocy pozostały. Tak więc kolejno, najpierw Łucejko, później pułkownik Englert zostali aresztowani. Przede wszystkim podejrzewano Łucejkę, było bowiem dziwne, że on, nie mieszkający w Arsenale, znalazł się tam w czasie akcji, mimo że odbywała się ona już po godzinach pracy. Gestapo zakatowało Łucejkę w śledztwie na śmierć. Pułkownik Englert wysłany został do Oświęcimia, stamtąd po jakimś czasie do Buchenwaldu, gdzie wreszcie doczekał wolności. Zmarł po wojnie w Londynie.

A więc było kilka uderzeń gestapo zmierzających do poszerzenia śledztwa, poszukujących logicznie ośrodka, który zorganizował akcję: rodzina Trzecińskich, rodzina Zdanowiczów, Łucejko, Englert... Dzięki charakterowi ludzi, dzięki ofierze życia kilku z nich śledztwo nie postąpiło już dalej ani o krok.

Lecz obok tego była represja na oślep. Brutalna, masowa, niemiecka... Represja, której obawa wisiała jak cień nad decydującymi o akcji i w czasie rozmowy pod fontanną na Politechnice, i 23-go marca już pod Arse-

nałem, i 26 marca pod Instytutem Głuchoniemych na placu Trzech Krzyży. Przyszła. Następnego dnia po akcji, 27 marca 1943 roku, gestapowcy zamordowali na dziedzińcu Pawiaka 140 osób — Polaków i Żydów. Nie miało to na celu zastraszenia organizacji podziemnych lub izolowania ich w opinii całego społeczeństwa. Na to potrzebne byłyby obwieszczenia, rozgłos, plakaty. Ten mord natomiast dokonany został po cichu. Ponura zemsta. A jednak powracająca często myśl o stu czterdziestu ludziach, których droga życiowa skończyła się właśnie 27 marca, tam, na pawiackim dziedzińcu, stała się przestroga dla każdego, komu się wydaje, że podjęcie decyzji to łatwa i prosta sprawa. Stała się przestroga, pomimo że ów pawiacki mord to może o dzień, a może tylko o parę godzin przyspieszone wykonanie niemieckiego planu wyniszczenia narodu polskiego i zdobycia wolnej przestrzeni na wschodzie dla narodu „panów”.

Akcja pod Arsenalem była tylko jednym z sygnałów wzmagającej się walki polskiego podziemia. Sygnałem tym ostrzejszym, że była to pierwsza akcja, przeprowadzona w stolicy na tak dużą skalę. Nic dziwnego, że Niemcy wzmogli czujność, poczęli otaczać się bunkrami, kozłami z kolczastego drutu, wzmocnili posterunki, patrole. Już następnego dnia po akcji w konwoju autawięźniarki znalazł się zapełniony gestapowcami sześcioposobowy mercedes. Dotychczasowa więźniarka, w której gnieździli się więźniowie pod odsłoniętą z tyłu plandeką, została zamieniona na całkowicie obudowaną ciężarówkę z tyłu zamykaną na żelazną sztabę i kłódkę.

I sposób jeżdżenia uległ zmianie. Za każdym razem ustalana była inna trasa, nikt jej nie znał, a szofer dopiero w chwili ruszania dowiadywał się którądy wypada mu droga.

Jeszcze jedną innowację wprowadzili Niemcy. W swym gmachu w alei Szucha urządzili jakby kaplicę, w której wystawiać zaczęli zwłoki poległych w walce gestapowców. Miejsce na katafalku rzadko odtąd bywało puste. Zamiast zawziętości w stosunku do Polaków ten makabryczny pomysł wzmógł tylko strach i stał się symbolem coraz ostrzejszej walki toczonej na froncie polskim.

A po stronie polskiej?

Śmierć „Rudego”, „Alka”, „Buzdygana” nie załamała kolegów z Grup Szturmowych. Przeciwnie. Coś się dziwnego stało w te dni, coś się zaczęło. Tam, na rogu Bielańskiej i Długiej ujrzeli wolną Polskę, uświadomili sobie w zawrotnym skrócie, że są ludźmi wolnymi. Wolnymi wtedy, gdy walczą, wolnymi wtedy, gdy pracują, gdy radzą w jakimś lokalu. Dojrzelili wolność kupioną za najwyższą cenę, cenę krwi. Kupioną nie dla siebie tylko, lecz i dla tych, których ręce błogosławiły ich w ulicznym wirze walki, i dla tych, co na odgłos strzałów czym prędzej zatrzaskiwali okna i drzwi. Grupy Szturmowe rozumiały w owych godzinach, że służą Polsce nie jakiejś abstrakcyjnej, lecz tej, która bije w każdym spotkanym polskim sercu tak, jak biła w sercach biegnących do wolności byłych więźniów. Młodzi ludzie jeszcze mocniej rozprostowali się, zmężnieśli. Spokojnym, twardym wzrokiem patrzyli wprost

w oczy Niemcom w mundurach Wehrmachtu, Schutzpolizei, SS czy gestapo. Nie budziły lęku te mundury. Widzieli je przecie leżące na bruku, rzucone tam polską siłą, ich własną siłą.

Na taką glebę trafił rozkaz przekazany któregoś kwietniowego dnia przez Kedyw:

Komenda Sił Zbrojnych w Kraju

Nr BP/L 68. 3.V.1943 r.

„30” — „Motor”

Na podstawie upoważnienia Naczelnego Wodza Rzplitej Polskiej nadaję:

ś.p. ob. Gliździe Krzyż Virtuti Military V-ej klasy za bohaterską postawę wobec wroga i śmierć na posterunku;

ś.p. ob. Tadziowi II K.W. po raz pierwszy za wyróżniającą się służbę żołnierską w szeregach wojska w konspiracji i śmierć na posterunku;

ob. Kajmanowi³⁰

ob. Anodzie

ob. Słoniowi

ob. Maćkowi

ob. Kołczanowi

K.W. po raz pierwszy za wyróżniającą się służbę żołnierską w szeregach wojska w konspiracji.

Komendant Sił Zbrojnych w Kraju

12 IV 1943 r.

(—) Grot³¹

³⁰ Inny pseudonim „Zośki”.

³¹ Archiwum im. Floriana Marciniaka.

W osiem dni później nadszedł rozkaz³² mianujący „Orszę” podporucznikiem.

Oba rozkazy były odpowiedzią na wnioski zawarte w drugim załączniku do listu Floriana Marciniaka do Dowództwa Dywersji.

Z domów rodzinnych, ze szkół, z harcerstwa wynieśli ci chłopcy głęboki szacunek dla tych niebiesko-czarnych wstążeczek Virtuti Militari, dla tych biało-amarantowych barw Krzyża Walecznych, dla oficerskiej gwiazdki. Wiedzieli dobrze, że to nie ozdoba, nie błyskotka, lecz że za tym kryją się realia bezmiaru ofiary i poświęcenia. Znali te realia z dziesiątków opowiadań ojców, stryjów, dziadków. Potem na ich oczach powtórzyły się one pod Mokrą i pod Krojantami, w Borach Tucholskich i nad Bzurą, na Westerplatte i pod Wizną. A teraz oni sami...

I dlatego ze czcią zanieśli niebiesko-czarne wstążeczki na groby „Rudego” i „Alka”, a biało-amarantową na grób „Buzdygana”. A gdy stanęli w krąg nad mogiłą „Rudego”, to chyba wtedy właśnie rozpoczęło się na Powązkach Wojskowych misterium wokół prawdziwej skarbnicy narodowej. Misterium, które trwa do dziś. Potem przy tym pierwszym białym brzoźowym krzyżu wyrosły następne, powstały długie, o wiele za długie szeregi. Na mogiłach pełno było zawsze barwnego, świeżego kwiecica. Tu i tylko tu szeregi te przestawały być szare.

Nie tylko Grupy Szturmowe pełne były atmosfery

³² Rozkaz ten zaginął.

spod Arsenału. Dla całych Szarych Szeregów akcja ta stała się narzędziem wychowawczym niezwyklej wagi. Bo przecież nie dokonał tego jakiś znany tylko z nazwy oddział, lecz najbliżsi koledzy, którzy kiedyś przechodzili te same szkolenia, którzy kiedyś wykonywali te same prace małego sabotażu, wywiadu, koledzy mający tych samych zwierzchników, czytający te same rozkazy, bywający na wspólnych odprawach. Jakże łatwo było młodszym członkom Szarych Szeregów wyobrazić sobie siebie w roli walczących żołnierzy Armii Krajowej może już za rok, a może nawet za kilka miesięcy. Moralne wartości akcji — przyjaźń i poświęcenie, karność i dzielność, spowodowały, że akcja i narosła wokół niej atmosfera stały się wychowawczym sztandarem Szarych Szeregów, który uwypuklił to wszystko, co działo się wśród nich dotąd i tak bardzo przesądził to wszystko, co nastąpiło potem. Jakże wspaniale jeszcze przed akcją wyczuł to Florian Marciniak, rzucając cały swój autorytet na szalę decyzji, by akcja się odbyła.

Od Grup Szturmowych atmosfera ta rozchodziła się po całej organizacji. Można ją odczytać z wielu dokumentów z tamtych czasów.

3 maja 1943 roku „Zośka”, kierujący kręgiem najbliższych przyjaciół z 23 Warszawskiej Drużyny Harcerzy, tzw. „Gromadą Pomarańczarni”, wydaje okolicznościowy rozkaz:

*„Gromada Pomarańczarni”
Warszawa, 3 maja 1943 r.*

Dnia 30 marca odeszli od nas na wieczną wartę d-howie Janek i Alek. Męczeńską śmiercią żołnierza Polski Podziemnej zginął Janek. Szczęśliwy jestem, że danym nam było okazać w czterech ostatnich dniach Jego życia miarę naszego braterstwa i przyjaźni. Śmierć Alka to śmierć żołnierza tym piękniejsza, że w imię i w poczuciu największych dla nas wartości. Pierwszy obowiązek względem Janka spełniliśmy na Długiej. Drugim obowiązkiem względem nich jest unieśmiertelnienie ich obu, idąc samemu ich śladami i ich postacie stawiając jako wzory ludzi, jakich chcemy wychować. Janku i Alku. Czuwamy i potrafimy pójść zawsze Waszymi śladami...

Czuwaj.

(—) Lech Pomarańczowy³³

Szare Szeregi żyją tą atmosferą nie tylko w pierwszych dniach po akcji. Z biegiem czasu atmosfera nie wygasa, a raczej się nasila. W rocznicę akcji komendant Chorągwi Warszawskiej, już nie „Orsza”, lecz „Kuna” — Jan Rossman, wydał następujący rozkaz:

Komenda Ula Wisła

m.p. 260344

³³ Archiwum im. Floriana Marciniaka. „Lech Pomarańczowy” — inny pseudonim „Zośki”.

D-howie.

Szare Szeregi z Batalionem Zośka i Ulem Wisła na czele obchodzą dziś pierwszą rocznicę odbicia więźniów pod Arsenalem.

Był to nie tylko brawurowy wyczyn, przewyższający sławne „wykradzenie dziesięciu z Pawiaka”, nie tylko najwyższego podziwu godny czyn wojskowy — jedna z najpiękniejszych akcji Polskiej Armii Podziemnej.

Dla nas, bliższych i dalszych współuczestników i świadków tego wielkiego wydarzenia wiosny 1943 roku w Walczącej Warszawie, odsłonięta była prawda tego czynu: oto dzień 26 marca stał się dla naszego grona świętem braterstwa. Tego braterstwa, które było pokrzepieniem niezłomnemu Rudemu w chwilach najcięższych katuszy; tego braterstwa, które Tadeuszowi podsunęło pomysł niezwykle śmiałej, brawurowej akcji i kazało mu pokonać wszystkie trudności w jej przygotowaniu; tego braterstwa, które poprowadziło dwudziestu kilku chłopców pod Arsenał w bój, który trzech życiem przypłaciło.

Ale akcja pod Arsenalem ma jeszcze inne znaczenie i inną wartość. Będzie legendą owianym przykładem, który świecić będzie pokoleniom młodzieży polskiej: przykładem tych cech charakteru, o które walczymy i dla których prowadzimy naszą pracę, których symbolami najwyższymi stali się Rudy, Alek i Tadeusz.

Wojna trwa, walka jest niezakończona; niech jej przyświecają te same słowa, które prowadziły bohaterów Pomarańczarni, słowa z „Testamentu” Juliusza Słowackiego:

Niechaj więc żywi nie tracą nadziei

.....
A jeśli trzeba, na śmierć idą po kolei

Jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec.

Cz.

Komendant Ula

(—) Kuna hm.³⁴

Śmierć „Rudego”, nasuwająca niesłuszne myśli o tym, że akcja była chybiona, oraz śmierć „Alka”, „Buzdygana” i „Huberta”, będąca niewątpliwym akcją tej skutkiem — wstrząsnęły „Zośką”. Grono przyjaciół widząc to, postanowiło po naradach z jego ojcem, profesorem Józefem Zawadzkiem, namówić „Zośkę”, by spisał swoje przeżycia, sądziło, i słusznie, że owo pisanie przyniesie ulgę. Tak powstał, w zwykłym notesie, pamiętnikarski zapis, który dla utrwalenia tematu ostatnich rozmów z „Rudym”, uzyskał tytuł: *Kamienie przez Boga rzucone na szaniec*. Zapis ten, a ponadto nurtująca kierownictwo Szarych Szeregów myśl, by opowiadanie o minionych wydarzeniach, jako piękny wzorzec postępowania, szeroko udostępnić harcerskiej młodzieży — spowodowały napisanie znanej dziś książki: *Kamienie na szaniec*. Autorem książki stał się wiel-

³⁴ Archiwum prywatne autora.

ki wychowawca i wielki Polak — Aleksander Kamiński. Jego słowa poniosły w świat, a co więcej, niosą w przyszłość przeżyte pod Arsenalem chwile.

Szare Szeregi były częścią Podziemnej Polski. Nie tylko żyły jej wydarzeniami i jej atmosferą, ale ich własne działania tę atmosferę współtworzyły. Tym bardziej że działań tych dokonywały Szare Szeregi jako oddziały Armii Krajowej. Tak stało się i teraz! Z akcji dumna była cała Armia Krajowa, cała Polska Podziemna. W centralnym organie Armii Krajowej w „Biuletynie Informacyjnym” ukazał się następujący komunikat:

Komunikat

Dnia 26 III o godz. 17.35 w Warszawie u zbiegu ulic Bielańskiej i Długiej oddział Sił Zbrojnych w Kraju zaatakował samochód wiozący więźniów z al. Szucha na Pawiak. Uwolniono kilkunastu więźniów, wśród których jeden był w stanie bardzo ciężkim po badaniach. W starciu zabito, względnie raniono jednego umundurowanego policjanta niemieckiego i 3 cywilnych.

28 III 1943 r.

*Kierownictwo
Walki Konspiracyjnej⁸⁵*

⁸⁵ Archiwum im. Floriana Marciniaka.

Wiadomości są niedokładne, komunikat wydany był bowiem przed sporządzeniem raportu z akcji. Wobec tego po nadejściu raportu ukazuje się komunikat następujący:

„7 IV 43 r. Bilans akcji bojowej przeprowadzonej w dn. 26.3 na ul. Bielańskiej wynosi: uwolniono 25 więźniów, z czego jeden skatowany na al. Szucha zmarł po uwolnieniu. Straty własne 2 rannych. Straty nieprzyjaciela: zabici — 1 oficer SS, 4 funkcjonariuszy gestapo, ranni — 2 agentów cywilnych, 2 policjantów granatowych. Zdobyto 1 samochód i 4 pistolety, zniszczono samochód więzienny. Akcja została przeprowadzona zgodnie z planem w sposób brawurowy³⁶.

Tak jak Szare Szeregi były organiczną częścią Podziemnej Polski, tak i ona nie stanowiła nic innego jak zorganizowane i sprawnie funkcjonujące agendy całego narodu. Nie było jakichś hermetycznych granic. Wiadomości o faktach i nastroje przenikały natychmiast. Istniały nawet zorganizowane formy informowania całego narodu. O jednej z nich, „Wawrze”, była już mowa. Akcją pod Arsenalem nie tylko więc żyje Polska Podziemna. Mówi o niej warszawska ulica. Najlepiej sięgnąć do autentycznych zapisków z tych czasów.

³⁶ Tamże.

Ludwik Landau pod datą 27 marca 1943 roku, a więc już następnego dnia po akcji, notuje w swej kronice:

Terror niemiecki działa — ale w coraz szerszym zakresie spotyka się z przeciwdziałaniem. Sensacją Warszawy był dokonany wczoraj wieczorem, na krótko przed nadejściem godziny policyjnej, napad na transport więźniów z Pawiaka. Szczegóły wiadomości o tej akcji w różnych wersjach różnią się: według jednych byli to więźniowie wiezieni na rozstrzelanie, według innych — z przesłuchania w gmachu sądu na pl. Kraśińskich do więzienia. Faktem jest, że napad nastąpił koło Arsenалу na Długiej, że przy rzuceniu petard, a potem bomb i wymianie strzałów zginęło dwóch Niemców; po drugiej stronie, jak się zdaje, zginął jeden z uczestników akcji, jedna osoba z więźniów — ale reszta więzionych bodajże uciekła. Panika od razu zrobiła się w całej dzielnicy, mężczyźni zaczęli uciekać i nie bezzasadnie: istotnie zaraz zabrali się podobno Niemcy do zatrzymywania przechodniów. Kto wie, czy nie będzie represji na Pawiaku?

Sprawa jest głośna; jeszcze parę razy powraca do kroniki. Pod datą 29 marca Landau notuje dalej:

W Warszawie jeszcze ciągle przedmiotem rozmów jest ów napad na samochód z więźniami z Pawiaka: podobno zginęło w nim aż czterech gestapowców — ale jeden z uczestników akcji, młody 17-letni chłopiec, został ujęty.

A w trzy dni później:

Opowiada się różne szczegóły o zamachu na owo auto z więźniami z Pawiaka na Długiej³⁷.

To wszystko to już jakieś nowe nuty nie znane dotąd w kronice Landaua, nuty walki, w której każda ze stron zadaje przeciwnikowi straty. To już nie znęcanie się nad bezbronną ofiarą. To walka.

³⁷ Ludwik Landau, *Kronika lat wojny i okupacji*, t. II, Warszawa 1962, s. 297, 300, 307.

PÓŹNIEJ



Granat rzucony przez „Alka” na rogu ulicy Miodowej i placu Krasińskich nie był ostatnim odgłosem walki rozpoczętej pod Arsenalem. Jeszcze trzykrotnie odzywały się strzały pistoletowe. Odzywały się jakby coraz rzadziej i jakby coraz dalej:

— 6 maja 1943 roku przed domem, w którym mieszkał przy ulicy Mokotowskiej 3, ginie gestapowiec Schultz,

— 22 maja 1943 roku u wylotu ulicy Wiejskiej na placu Trzech Krzyży ginie gestapowiec Lange,

— 18 lipca 1943 roku na stacji kolejowej w Józefowie pod Warszawą ginie konfident gestapo Sommer.

Dwa motywy leżały u podstaw tych celnych uderzeń: zniszczenie gestapowskiej komórki, a ponadto wymierzenie przykładowej kary najbardziej zwyrodniałym i zbyt gorliwym funkcjonariuszom niemieckiego aparatu terroru. Motyw pierwszy dotyczył Schultza i Langego, pracowników pokoju nr 228 w gmachu gestapo przy alei Szucha. Motyw drugi dotyczył zarówno Schultza i Langego, którzy w sposób nieludzki prowadzili śledztwo „Rudego”, jak i Sommera, który podstępnie zgubił „Huberta”.

Mimo wagi pierwszego motywu, drugi wybijał się jednak na czoło. To był najskuteczniejszy sposób, w jaki polski zbrojny ruch oporu mógł bronić naród przed wyniszczeniem. Tak można osądzić dziś, ale tak również sądzono wówczas. Dlatego przecież istniał oddział „Osa”-„Kosa”, a po jego rozbiciu dlatego stworzono z części szaroszeregowych Grup Szturmowych oddział „Agat” przemianowany następnie na „Pegaz” i wresz-

cie na „Parasol”. Dlatego oddziały te strzelały do najgroźniejszych funkcjonariuszy niemieckich i najczęściej likwidowały ich mimo ochrony, mimo stosowania wszelkich środków ostrożności. Dlatego inne oddziały atakowały transport, najczulsze miejsce niemieckiej machiny wojennej na terenie Polski, odpowiadając terrorem na terror i zmuszając Niemców do zastanowienia się, czy im się terror opłaca. Więc też uderzenie w Schultza, Langego i Sommera było fragmentem tego działania; było przestrożą, że nie wolno bezkarnie postępować tak jak oni. Nie mglistym jeszcze sądem nad zbrodniarzami wojennymi, po ich klęsce, która może kiedyś nastąpi, ale dokonaniem rozrachunku natychmiast, u szczytu ich pewności siebie, powodzenia i... zbrodni.

Na Niemców musiał paść strach. Nie wiadomo, co myślał Schultz po akcji pod Arsenalem, można domyślać się, co po jego śmierci myślał Lange, wiadomo ze sposobu zachowania się, co po śmierci Schultza i Langego myślał Sommer.

Pismo konspiracyjne „Polska Karząca” pisało potem w artykule pt. „Zadanie 228”:

Schultz padł 6 maja w dzień imienin swej ofiary Rudego. Wychodził z domu przy ulicy Mokotowskiej 3. Sucho i krótko trzaskały wystrzały; z ośmioma kulami w cielsku przebiegł jeszcze przez całą szerokość ulicy, aż dziewiąta wpakowana w kark położyła go trupem w zagonach ogródków działkowych. A właśnie nadchodziła kompania mongołów w niemieckich mundurach

i nadjechał mercedes z czterema gestapowcami. Sprawcy zamachu znikli im przed nosa, zabierając broń i tekę zabitego.

I dalej w tymże artykule:

Lange otrzymawszy zawiadomienie o wykonaniu zamachu na Schultza, miał się na baczności. Wyraźnie napisano, za co Schultz padł, a winami dzielili się obaj. A jednak 22 maja sprawiedliwe kule dosięgły go nieomylnie. W samym sercu miasta, na rogu Wiejskiej i placu Trzech Krzyży. Wśród mrowia mundurów niemieckich. Tuż obok zbrojnych wart. Dostał dwie kule w chwili, gdy sięgał po broń, zwracając się do ucieczki. Traf chciał, że w zasięgu strzałów znalazł się jakiś SS-man. Próbował się wycofać chyłkiem, ale idąc tyłem wpadł na samochód i utkwił na bagażniku. Padł również od kuli szofera. Trzech ludzi skoczyło do auta. Gruchnęła seria z pistoletu maszynowego nad głowy przerażonej ciżby niemieckiej. Z taką fantazją odjechali.

Oba wyroki wykonały Grupy Szturmowe.

Sommer zginął od kul innego oddziału Kedywu. O tym wydarzeniu wspomina też „Polska Karząca”, tym razem w artykule pt. „Rachunek za Arsenał wyrównany”:

Policja niemiecka uczyniła wszystko, co mogła, by go uratować. Nie tylko zwolniła go z obowiązków służbowych, polecając opuścić Warszawę, ale przydzieliła mu stałą ochronę z tajnych agentów. Sommer ukrył się

w Józefowie pod Otwockiem. (...) Aż wreszcie nadszedł dzień wykonania wyroku. 18 lipca 1943 roku w mieszkaniu Sommera było wiele gości (...). Dopiero z nadejściem wieczoru zgromadzenie zaczęło się rozchodzić. Wyszedł i Sommer, by odprowadzić kompanów na pociąg (...). Na peronie tłum gęsty (...). W tłumie ci, co czekali tak długo — zbrojne ramię Polski Podziemnej. Poznał je Sommer, gdy z odległości pół kroku zajrzały mu w ślepia dwie lufy pistoletowe. Pierwszą kulę dostał w skroń.

W akcji pod Arsenalem wzięło udział 28 uczestników. Ich dalsze losy nie różnią się od losów całego pokolenia młodzieży polskiej. Może tylko częściej niż gdziekolwiek przerywały się tu przedwcześnie życiowe ścieżki. I rzecz znamienita: nie przerywały się one wszystkie w jednej hekatombie, lecz kolejno w różnym czasie, w różnych sytuacjach, a z jednego zawsze powodu. Dziesiątki, setki razy, każdy mógł się namyślić, każdy mógł się cofnąć. A jednak szli do celu, którym była wolna Polska. Chcąc żyć i pracować, umiając cieszyć się życiem, świadomie... na śmierć szli po kolei jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec.

Trzech zabrała sama akcja:

1. Aleksy Dawidowski „Alek”, „Glizda”, „Wojtek”, „Kopernicki”, urodzony 3 XI 1920 roku, student Politechniki, w konspiracji pełniący obowiązki hufcowego hufca „Sad” Warszawskich Grup Szturmowych, w akcji dowódca sekcji „granaty”, sierżant podchorąży, od-

znaczony *Virtuti Militari* V-ej klasy, podharcemistrz, zmarł z ran 30 III 1943 roku.

2. Tadeusz Krzyżewicz „Buzdygan”, „Tadzio II”, urodzony 15 II 1924 roku, student medycyny, w konspiracji zastępowy w drużynie 200 hufca Centrum Warszawskich Grup Szturmowych, w akcji członek sekcji „*sten I*”, plutonowy podchorąży, odznaczony Krzyżem Walecznych, podharcemistrz, zmarł z ran 2 IV 1943 roku.

3. Hubert Lenk „Hubert”, urodzony w 1924 roku, w akcji członek sekcji „*granaty*”, kapral, zamęczony na śledztwie w 1943 roku.

Pięciu poległo w późniejszych akcjach bojowych:

4. Henryk Kupis „Heniek”, urodzony w 1923 roku, w akcji członek sekcji „*butelki*”, kapral, poległ w akcji osłonowej w kwietniu 1943 roku.

5. Feliks Pendelski „Felek”, urodzony 20 IX 1921 roku, student Politechniki, w konspiracji hufcowy hufca Centrum Warszawskich Grup Szturmowych, w akcji członek sekcji „*ubezpieczenie-getto*”, kapral podchorąży, podharcemistrz, poległ w odwrocie z akcji pod Czarnocinem 6 VI 1943 roku.

6. Stanisław Pomykański „Stasiek”, urodzony w 1922 roku, w akcji członek sekcji „*butelki*”, kapral, poległ w akcji na ulicy Poznańskiej w sierpniu 1943 roku.

7. Tadeusz Zawadzki „Zośka”, „Kajman”, „Kotwiczki”, „Lech Pomarańczowy”, urodzony 24 I 1921 roku, student Politechniki, w konspiracji komendant Warszawskich Grup Szturmowych, w akcji dowódca grupy „*atak*”, podporucznik, odznaczony *Virtuti Militari* V-ej

klasy i dwukrotnie Krzyżem Walecznych, harcemistrz, poległ w akcji pod Sieczychami 20 VIII 1943 roku.

8. Józef Pleszczyński „Ziutek”, urodzony 3 III 1921 roku, absolwent Szkoły Wawelberga, w konspiracji dowódca drużyny w kompanii „Rudy”, batalionu „Zośka”, w akcji członek sekcji „ubezpieczenie-getto”, plutonowy podchorąży, odznaczony Krzyżem Walecznych, podharcemistrz, poległ w akcji pod Wilanowem 26 IX 1943 roku.

Dwóch zostało rozstrzelanych:

9. Jerzy Tabor „Pająk”, urodzony w 1924 roku, absolwent gimnazjum, w akcji członek sekcji „ubezpieczenie-getto”, plutonowy podchorąży, odznaczony Krzyżem Walecznych, podharcemistrz, rozstrzelany w listopadzie 1943 roku.

10. Maciej Bittner „Maciek”, „Kajman Wojak”, urodzony 21 VII 1923 roku, absolwent gimnazjum, w konspiracji dowódca 1 kompanii batalionu „Zośka”, w akcji dowódca sekcji „sten I”, porucznik, odznaczony *Virtuti Militari* V-ej klasy i trzykrotnie Krzyżem Walecznych, podharcemistrz, rozstrzelany 28 II 1944 roku.

Dwóch poległo w Powstaniu Warszawskim na Woli:

11. Eugeniusz Köcher „Kołczan”, urodzony 10 XI 1920 roku, absolwent szkoły handlowej, w konspiracji i w Powstaniu dowódca plutonu „Alek”, kompanii „Rudy”, batalionu „Zośka”, w akcji członek sekcji „sten I”, porucznik, odznaczony *Virtuti Militari* V-ej klasy i dwukrotnie Krzyżem Walecznych, podharcemistrz, poległ 8 VIII 1944 roku.

12. Konrad Okolski „Kuba”, urodzony 11 V 1923 ro-

ku, maturzysta, w konspiracji i w Powstaniu dowódca plutonu „Felek”, kompanii „Rudy”, batalionu „Zośka”, w akcji dowódca sekcji „sygnalizacja”, porucznik, odznaczony *Virtuti Militari* V-iej klasy i dwukrotnie Krzyżem Walecznych, podharcemistrz, poległ 11 VIII 1944 roku.

Jeden poległ w Powstaniu Warszawskim na Starym Mieście:

13. Miłosław Cieplak „Giewont”, „Kwiczol”, „Mały”, „Władek”, urodzony 6 VI 1917 roku, absolwent gimnazjum, w Powstaniu dowódca 3 kompanii batalionu „Zośka”, w akcji dowódca grupy „ubezpieczenie”, porucznik, odznaczony *Virtuti Militari* V-iej klasy i dwukrotnie Krzyżem Walecznych, harcemistrz, poległ 30 VIII 1944 roku.

Czterech poległo w Powstaniu Warszawskim na Czeriakowie:

14. Jerzy Peplowski „Jurek TK”, urodzony 25 V 1924 roku, w Powstaniu w dowództwie kompanii „Maciek”, batalionu „Zośka”, w akcji ubezpieczenie środka ewakuacji, podporucznik, odznaczony dwukrotnie Krzyżem Walecznych, podharcemistrz, poległ 16 IX 1944 roku.

15. Wiesław Krajewski „Sem”, „Miki”, urodzony 6 XI 1923 roku, absolwent gimnazjum, w Powstaniu dowódca drużyny w kompanii „Rudy”, batalionu „Zośka”, w akcji członek sekcji „*sten I*”, podporucznik, odznaczony trzykrotnie Krzyżem Walecznych, podharcemistrz, poległ 20 IX 1944 roku.

16. Jerzy Gawin „Słoń”, „Miecz”, urodzony 20 IX 1922 roku, absolwent gimnazjum, w Powstaniu dowód-

ca plutonu „Felek”, kompanii „Rudy” batalionu „Zośka” (drugi z kolei następca Konrada Okolskiego), w akcji dowódca sekcji „*sten II*”, porucznik, odznaczony *Virtuti Militari* V-jej klasy i trzykrotnie Krzyżem Walecznych, podharcemistrz, poległ 23 IX 1944 roku.

17. Jerzy Zborowski „Jeremi”, „Jurek Żoliborski”, „Kajman Okularnik”, urodzony 26 VII 1922 roku, absolwent gimnazjum, w Powstaniu zastępca dowódcy batalionu „Parasol”, w akcji szofer, podporucznik, odznaczony *Virtuti Militari* V-jej klasy i dwukrotnie Krzyżem Walecznych, harcemistrz, ciężko ranny zginął w gestapo we wrześniu 1944 roku.

Dwóch zginęło później:

18. Tadeusz Szajnoch „Cielak”, urodzony w 1921 roku, w Powstaniu dowódca drużyny w kompanii „Rudy”, batalionu „Zośka”, w akcji członek sekcji „*sten II*”, podporucznik, odznaczony Krzyżem Walecznych, zginął w obozie w 1945 roku.

19. Jan Rodowicz „Anoda”, urodzony 7 II 1923 roku, student Politechniki, w Powstaniu zastępca dowódcy plutonu „Felek”, kompanii „Rudy”, batalionu „Zośka”, w akcji dowódca sekcji „*butelki*”, podporucznik, odznaczony *Virtuti Militari* V-jej klasy i dwukrotnie Krzyżem Walecznych, zginął 7 I 1949 roku.

Jeden zmarł po wojnie:

20. Józef Sasaki „Katoda”, urodzony 1 VIII 1922 roku, student prawa, adiutant batalionu „Parasol”, w akcji dowódca sekcji „*ubezpieczenie-Stare Miasto*”, podporucznik, odznaczony Krzyżem Walecznych, po wojnie adwokat, zmarł 20 VII 1979 roku.

Losy jednego są nieznane:

21. Tadeusz Hojko, „Bolec”, urodzony w 1919 roku, w akcji członek sekcji „butelki”.

Siedmiu żyje:

22. Witold Bartnicki „Kadłubek”, urodzony 27 III 1924 roku, w akcji członek sekcji „sygnalizacja”.

23. Stanisław Broniewski „Orsza”, urodzony 29 XII 1915 roku, w akcji dowódca.

24. Stanisław Jastrzębski „Kopeć”, urodzony 10 XI 1920 roku, w akcji członek sekcji „ubezpieczenie-Stare Miasto”.

25. Żeliszław Olech „Rawicz”, urodzony 23 VII 1915 roku, w akcji członek sekcji „ubezpieczenie-Stare Miasto”.

26. Jerzy Trzeciński „Tytuś”, urodzony w 1922 roku, w akcji dowódca sekcji „ubezpieczenie-getto”.

27. Andrzej Wolski „Jur”, urodzony 5 X 1924 roku, w akcji członek sekcji „sygnalizacja”.

28. Jerzy Zapadko „Mirski”, urodzony 16 III 1924 roku, w akcji członek sekcji „granaty”.

W czasie Powstania Warszawskiego budynek Arsenalu znalazł się na linii walki. Tędy przebiegały pozycje broniącej się Starówki. Gdy większość znanych i nie znanych budynków Warszawy zamieniała się w gruzy, Arsenał był wśród nich.

Dziś stoi odbudowany. Sam prawie nie zmieniony, znalazł się jednak w zupełnie innym otoczeniu. Tuż obok krzyżują się dwie wielkie arterie, których da-

wniej nie było. Tętni tutaj życie. Lecz wystarczy z okien tramwaju czy autobusu ogarnąć wzrokiem stare mury, wystarczy zboczyć z drogi kilkadziesiąt metrów, by odezwały się znów echa tamtych wydarzeń, które czerpały siłę nagromadzoną w tych murach — dziś chcą ją za ich pośrednictwem przekazać. Arsenał przypomina.

Przed pamiątkową tablicą wmurowaną w Arsenał zatrzymują się czasem zwykli przechodnie, zatrzymuje się młodzież, przychodzą tu harcerskie drużyny. Są drużyny imienia „Rudego”, „Zośki”, „Alka”, jest drużyna imienia Akcji pod Arsenalem. Są hufce imienia Floriana Marciniaka, imienia Szarych Szeregów.

SPIS TREŚCI

Źródła	5
Przed walką	23
Znów przed walką	57
Walka	79
Po walce	97
Później	149

Wydawnictwo „Książka i Wiedza”,
RSW „Prasa-Książka-Ruch”,
Warszawa, maj 1983 r.

Wyd. II. Nakład 39 650 + 350 egz.

Obj. ark. wyd. 6,4. Obj. ark. druk. 10,5(7) +
+ 1 arkusz ilustr. rotogr.

Papier druk. sat. kl. IV, 70 g, 70×100 cm

Oddano do składu 8.VI.1983 r.

Podpisano do druku w marcu 1983 r.

Druk ukończono w maju 1983 r.

Prasowe Zakłady Graficzne,

Warszawa, ul. Srebrna 16. Zam. nr. 167-82/O. M-15

Cena zł 60.—

*Jedenaście tysięcy trzysta sześćdziesiąta trzecia
publikacja „KiW”*

Dotychczasowe publikacje serii Biblioteka Pamięci Pokoleń

Rok 1968

- Lesław M. Bartelski — *Walcząca Warszawa*, wyd. I, nakład 30 tys.
- Franciszek Bernaś, Julitta Mikulska-Bernaś — *Bydgoski wrzesień*, wyd. I, nakład 30 tys.
- Władysław Bartoszewski — *Palmiry*, wyd. I, nakład 30 tys.
- Zbigniew Flisowski — *Tu, na Westerplatte*, wyd. I, nakład 30 tys.

Rok 1969

- Zbigniew Flisowski — *Tu, na Westerplatte*, wyd. II, nakład 30 tys.
- Bohdan Hillebrandt — *W suchedniowskich i radoszyckich lasach*, wyd. I, nakład 30 tys.

Rok 1970

- Waldemar Tuszyński — *Lasy janowskie i Puszcza Solska*, wyd. I, nakład 30 tys.
- Krzysztof Dunin-Wąsowicz — *Stutthof*, wyd. I, nakład 30 tys.
- Waldemar Kotowicz — *Przez Nysę Łużycką*, wyd. I, nakład 30 tys.
- Franciszek Bernaś, Julitta Mikulska-Bernaś — *Reduta pod Wizną*, wyd. I, nakład 30 tys.

- Edmund J. Osmańczyk — *Chwalebna wyprawa na Berlin*, wyd. I, nakład 30 tys.
Władysław Bartoszewski — *Straceni na ulicach miasta*, wyd. I, nakład 30 tys.
Józef Gielo — *Gross-Rosen*, wyd. I, nakład 30 tys.

Rok 1971

- Franciszek Skibiński — *Falaise*, wyd. I, nakład 30 tys.
Marek Sadzewicz — *Ostatnia bitwa kampanii 1939*, wyd. I, nakład 30 tys.
Edmund J. Osmańczyk — *Chwalebna wyprawa na Berlin*, wyd. II, nakład 20 tys.
Józef Bohatkiewicz — *Oflag II C Woldenberg*, wyd. I, nakład 20 tys.
Lesław M. Bartelski — *Na Mokotowie*, wyd. I, nakład 20 tys.
Stanisław Lewicki — *Radogoszcz*, wyd. I, nakład 20 tys.
Edmund Kosiarz — *Obrona Helu w 1939*, wyd. I, nakład 30 tys.
Stefan Skwarek — *Ziemia radomska w walce z okupantem*, wyd. I, nakład 20 tys.
Adam Kaska — *Nadwiślańskie reduty*, wyd. I, nakład 30 tys.
Włodzimierz Sokorski — *Polacy pod Lenino*, wyd. I, nakład 30 tys.

Rok 1972

- Tadeusz Jurga — *Największa bitwa września*, wyd. I, nakład 20 tys.
Jan Zakrzewski — *Narwik*, wyd. I, nakład 20 tys.
Stanisław Broniewski — *Akcja pod Arsenalem*, wyd. I, nakład 30 tys.
Marek Szymański — *Oddział majora „Hubala”*, wyd. I, nakład 30 tys.

Tadeusz Walichnowski — *Warmia, Mazury, Powiśle*, wyd. I, nakład 20 tys.

Marek Sadzewicz — *Na szanłcach Woli i Ochoty*, wyd. I, nakład 20 tys.

Rok 1973

Janusz Płowecki — *Wyzwolenie Częstochowy 1945*, wyd. I, nakład 10 tys.

Józef Bohatkiewicz — *Oflag II B Arnswalde*, wyd. I, nakład 10 tys.

Stanisław Goszczurny — *Mord w lesie kociewskim*, wyd. I, nakład 15 tys.

Waldemar Kotowicz — *Droga ku morzu*, wyd. I, nakład 20 tys.

Jan Bijata — *Wawer*, wyd. I, nakład 10 tys.

Eugeniusz Fąfara — *Obrońcom świętokrzyskich wsi*, wyd. I, nakład 10 tys.

Halina Winnicka — *Zagań*, wyd. I, nakład 8 tys.

Eugeniusz Banaszczyk — *W bitwie o Anglię*, wyd. I, nakład 20 tys.

Ryszard Nazarewicz — *Ziemia radomszczańska w walce 1939—1945*, wyd. I, nakład 10 tys.

Kazimierz Kaczmarek — *Na łużyckim szlaku*, wyd. I, nakład 10 tys.

Edmund Kosiarz — *Obrona Kępy Oksywskiej*, wyd. I, nakład 10 tys.

Kazimierz Sławiński — *Jeniecki obóz specjalny Colditz*, wyd. I, nakład 10 tys.

Rok 1974

Rudolf Gliński — *Martyrologia wsi rzeszowskiej*, wyd. I, nakład 10 tys.

Halina Dudowa — *Uroczysko dwóch pomników*, wyd. I, nakład 10 tys.

Zbigniew Flisowski — *Pod Mierostawcem, Borujskiem, Złocińcem*, wyd. I, nakład 10 tys.

- Krzysztof Dunin-Wąsowicz — *Police*, wyd. I, nakład 10 tys.
Adam Kaska — *Pod Jastrowiem i Nadarzycami*, wyd. I, nakład 10 tys.
Lesław M. Bartelski — *Z głową na karabinie*, wyd. I, nakład 10 tys.
Zbigniew Flisowski — *Tu, na Westerplatte*, wyd. III, nakład 30 tys.

Rok 1975

- Marek Szymański — *Oddział majora „Hubala”*, wyd. II, nakład 30 tys.
Stanisław Kopf — *Sto dni Warszawy*, wyd. I, nakład 10 tys.
Eugeniusz Banaszczyk — *Skrzydłata dywizja*, wyd. I, nakład 10 tys.
Witold Biegański — *Arnhem*, wyd. I, nakład 10 tys.
Waldemar Tuszyński — *Lasy janowskie i Puszcza Solska*, wyd. II, nakład 8 tys.

Rok 1976

- Leszek Siemion, Waldemar Tuszyński — *W lasach parczewskich i pod Rąbłowem*, wyd. I, nakład 8 tys.
Edmund Kosiarz — *Obrona Gdyni 1939*, wyd. I, nakład 15 tys.
Antoni Przygoński — *Akcje zbrojne GL — Warszawa 1942*, wyd. I, nakład 15 tys.
Władysław Bartoszewski — *Palmiry*, wyd. II, nakład 20 tys.

Rok 1977

- Witold Biegański — *Arnhem*, wyd. II, nakład 15 tys.
Stanisław Kopf — *Sto dni Warszawy*, wyd. II, nakład 20 tys.
Marek Sadzewicz — *Oflag II D Gross-Born*, wyd. I, nakład 20 tys.

- Kazimierz Kaczmarek — *Na polach Brandenburgii*, wyd. I, nakład 10 tys.
- Jadwiga Korzeniowska — *Melpomena walcząca*, wyd. I, nakład 10 tys.
- Marek Szymański — *Oddział majora „Hubala”*, wyd. III, nakład 30 tys.

Rok 1978

- Wojciech Kozłowicz — *Ziemia najdłuższej bitwy*, wyd. I, nakład 10 tys.
- Przemysław Mnichowski — *Ziemia Lubuska oskarża*, wyd. I, nakład 10 tys.
- Rajmund Szubański — *W obronie polskiego nieba*, wyd. I, nakład 30 tys.

Rok 1979

- Cezary Leżeński — *Zostały tylko ślady podków...*, wyd. I, nakład 20 tys.
- Marian Krwawicz — *Śląska reduta*, wyd. I, nakład 10 tys.
- Edmund Kosiarz — *Obrona Helu w 1939*, wyd. II, nakład 20 tys.
- Franciszek Skibiński — *Axel*, wyd. I, nakład 50 tys.
- Eugeniusz Banaszczyk — *W bitwie o Anglię*, wyd. II, nakład 30 tys.

Rok 1980

- Waldemar Tuszyński — *Podziemny front w Polsce 1939—1945*, wyd. I, nakład 15 tys.
- Rajmund Szubański — *Początek pancernego szlaku*, wyd. I, nakład 35 tys.

Mieczysław Juchniewicz — *Gdzie był wróg, tam walczyli Polacy*, wyd. I, nakład 15 tys.

Władysław Ważniewski — *Partyzanci spod znaku Bartosza*, wyd. I, nakład 20 tys.

Rok 1981

Regina Domańska — *A droga ich wiodła przez Pawiak*, wyd. I, nakład 40 tys.

Kazimierz Kaczmarek — *Oni szturmowali Berlin*, wyd. I, nakład 40 tys.

Krzysztof Dunin-Wąsowicz — *Stutthof*, wyd. II, nakład 20 tys.

Kazimierz Kaczmarek — *Polacy w walkach o Czechosłowację*, wyd. I, nakład 10 tys.

Wojciech Kozłowicz — *Najmłodszy występ!*, wyd. I, nakład 15 tys.

Rok 1982

Edmund Kosiarz — *Na wodach Norwegii*, wyd. I, nakład 50 tys.

Zbigniew Flisowski — *Tu, na Westerplatte*, wyd. IV, nakład 50 tys.

Stanisław Ozimek — *W pustyni i w Tobruku*, wyd. I, nakład 40 tys.

„Trwa chwila szczęścia spowodowanego widokiem gromadki uwolnionych, słycać radosne, podniesione głosy. – Jest „Rudy”! Jest! – dekawka wstecznym biegiem podjeżdża do więźniarki. Koledzy ramionami podpierają „Rudego”. W jego szeroko otwartych, dużych, niebieskich oczach jakby cień uśmiechu. Lecz wygląda strasznie. Twarz szarżółta, jakby zmalala, skurczyła się. Głowa ogolona do skóry. (Gdzież te wesole, jasne włosy?). Pokryty jest sinymi plamami i zakrzepłą krwią. Granatowe ubranie wymięte, poszarpane i jakby wilgotne. A nade wszystko ten skurcz bólu przy każdym ruchu, ten cichy jęk”.